

ŚWIAT

PIEŚŃ-SIEROTA.

Rozpłakała się pieśń cicha
O wieczornej dobie,
Wiatr z niej sieje łzy i wzdycha
Nad pieśniarzem w grobie...

Zaniemiały, posmutniały
Słowiki żalosne, —
Och, od srogiej zimy białej
Gorszą Bóg dał wiosnę!...

Błądzi w polu pieśń sierota
Od żalości błada,
Pod cmentarne płynie wrota,
Na mogiłach siada...

Nad nią smutne gwiazdy nocą...
Niby łzy migocą,
Zda się płacze niebo razem
Z tą pieśnią sierocą...

A w mogile przy lircie
Stary pieśniarz leży
I na piersiach złożył ręce,
Jakby do pacierzy...



WSTĘP DO POEMATU

»MICHAŁ ANIOŁ BUONAROTI«.

Grato me il sonno e piu esser sasso,
Mentre che il danno e la vergogna dura.

Na Nerona złotym domu
Stare gruzy bluszcz porasta,
Wiatr zapędza od poziomu
Wieczny szmer wiecznego miasta,
Głaz na głazie, na kolumnie
Połamana śni kolumna...

Odwrócona postać dumna
Skróń na dłoni wsparta dumnie.

Maż ponury, nieruchomy,
Cień na dolne rzucał domy,
A ja — czyż to Nemrod stary
Z kniei wyszedł na Cezary?
— Buonaroti, mistrz mój — rzecze,
Jego dłuta rzymskie miecze...
Na gród cichy, mniszy, boso,
Purpurową przedzie toge,
Bohaterów śni wciąż drogę,
Via sacra i kolosy.
Myśli jego świat przeszkadza,
Więc jak kat ruiny schadza.
Bystre oko to sokole,
A nie spojrzysz acz powitan,
Na swej myśli zwrócon pole
Popędliwy Michał Tytan,
I w milczeniu siedzi głuchem,
Jak przykuty wpół łańcuchem.

Gdym sam został... ha, cóż stracę,
Idźmy... place, fontan szmery,
Rumowiska i pałace,
Straż trzymają kondotierzy;

Z ruin żebrak z łysym czołem
Prostuje się, dźwiga, wznasza,
Jakbyś zszedł się z apostołem,
Pawła ujrzał czy Łukaśza.
Zielska, płoty i pustkowie,
Gniazda węzów i niezdrowia...
A po chwili już ci zmiana,
Gmach możnego jaśnie pana,
I cyprysy i oliwki,
I skaczące srebrne wody,
I pałace i ogrody
Na uciechy, na rozrywki...

Słuch się znuży, czucie znuży,
A oko się nie nasycy,
Co nie ujrzy z siedmiu wzgórz,
Ocalałe z czasów burzy
Dwoje dziatki i wilczyca...
A myślą to w oczy świeci:
Że tu wilcy są i dzieci.

I znów błogi powiew świeży
Macierzanki, polnej mięty,
A na sercu smutek leży,
Ale jakiś smutek święty,
Jak po szczęściu, jak po stracie
Opiekuńczej gdzieś istoty,
W niskiej chacie w białej szacie,
W atmosferze dziwnie złotej,
Nad kołyską twą schylonej,
W ony młody czas zielony. —
Pod katabumb rzymskich pleśnią
Znać chrześcijańska pamięć żyje,

W rytm się składa, zwrotki wiję,
I rozbiera niemą pieśnią.
Władców Rzymu jednej doby,
Zamienione na fortece
Cię rzucają w dal po rzece
Poczerńnięte pyszne groby.
By zaś wieczne miasto trwało
Niepodległe wciąż i cało,
Nad Tybrową Cytadelą,
Stanął anioł San-Andżelo.

Możni drzemią, lud w rozterce,
Klasztor tęchnie, jeden żyje
Młot co głucho w marmur bije,
Jak wiecznego miasta serce...
Pożegnalnej pieśni Feba
W takt wybija wulkan chromy,
Mierzchną zwolna miejskie domy,
W kryształowym płaszczu nieba.

Nie pustelnia znać to mnisza,
Gdzie się w ciszy duch ucisza,
Kędy gołąb sinopióry
I jaskółek leca sznury,
A wygnanych bogów ściany
Gdzie kowale ich wulkany
Kują strzały dla Jowisza.
Oddalone owe młoty
Wyrebuja sławne imię
Czuwające w sennym Rzymie,
Michał Anioł Buonaroti.

TEOFIL LENARTOWICZ.

KOBIECE DOLE.

III.

HELENA.

(Dokończenie).

Helena o tem nie wiedziała, argumenta zaś ojcowskiego przyjaciela nie zdawały jej się wcale przekonywające, a fakt, że mężczyznom chleba brakuje był faktem smutnym, który wcale nie zmieniał jej osobistego położenia. Nie pojmowała, by w imię dobra jednej płci, drugą od zarobku odsądzać.

— Więc cóż ja mam robić, — zawołała — co mają robić kobiety?

— Kobieta nie jest przeznaczoną do zarobku, — odparł sentencyjnie prawnik — rola jej w społeczeństwie jest zbyt ważną, ażeby puszczać ją na niepewne szanse i walki, ona pozostać powinna kapłanką domowego ogniska, wychowawczynią przyszłych pokoleń.

— Ależ są takie, co nie mają ogniska.

— Panno Heleno, prawa i obyczaje stanowią się dla ogółu, wyjątki uwzględnione być nie mogą. Zresztą takich wyjątków jest nie wiele.

Miała ochotę zawołać, że choćby znalazł się jeden tylko, prawa i obyczaje skazujące go na śmierć głodową byłyby niesprawiedliwe, zasługiwałyby zarówno na miano okrucieństwa, jak owe krwawe ofiary, które składano bóstwom starożytnym dla prześlągnięcia ich gniewu, lub zyskania łaski, kiedy także jednostka cierpiała za wszystkich.

Jednak nie wypowiedziała tego, bo czuła, że byłoby to daremne. Przekonania prawnika były echem przekonania ogólnych, po za które nie wybiegał nigdy. On też chcąc złagodzić swoją odmowę, dodał:

— Skoro Bronisław skończy uniwersytet, będę miał miejsce dla niego.

Helena powróciła do domu rozgorączkowana i wówczas postanowiła zjednoczyć się z istnieniem brata, doprowadzić go do skończenia studyów, a następnie pracować pod jego imieniem.

Zadanie to łatwe nie było, tem bardziej, że za pomocą mało płatnych kobiecych lekcji musiała opędzać nędzę domową. Po nocach tylko miała czas uczyć się sama i wbijać naukę w tępy umysł brata. Wiele razy znużona tą syzyfową pracą, opuszczała ręce i mówiła sama do siebie, iż to zadanie było nad jej siły! Ale siły bywają niewyczerpane i Helena podejmowała znowu porzucony ciężar i dźwigała go mężnie.

Najstraszniejsze były dla niej egzamina, egzamina które zdawać musiała przez brata i których rezultatu czekała zawsze w śmiertelnym niepokoju. Znała najlepiej słabe strony jego umysłu i szczerby wiedzy, nad zapelnieniem których pracowała tak usilnie. A jeśli właśnie dostaną mu się pytania trudne, jeśli na nie źle odpowie?

Prosiła go zatem, by jeszcze popracował. O! gdyby to ona mogła stanąć na jego miejscu, nie lękałaby się wcale; gdyby przynajmniej mogła być przy tym egzaminie obecna! Zdawało jej się, że dopomogłaby mu spojrzeniem, szeptem, skinieniem. A tymczasem losem jej było pracować, czekać i drzeć, by cała ta praca nie poszła na marne.

Był to piękny dzień w życiu Heleny, gdy wreszcie Bronek ukończył studia i gdy mogła przypomnieć dawnemu przyjacielowi ojca obietnicę wzięcia go za pomocnika. Dotąd żyła ona jedynie jego życiem, zupełnie zapominając o sobie, siebie odkładając na później. »Niechno Bronek zda egzamina«, — była to formuła zwykła jej myśli i marzeń. Teraz jednak przekonała się, że i nadal musiała pozostać jego kierowniczką, że losem jej było wiecznie pracować za niego i pod jego imieniem. Brat jej skończył wprawdzie uniwersytet, zyskał stopień naukowy, ale stało się to niejako automatycznie; słaba jego pamięć nie mogła starczyć nabytej wiedzy, zapominał nazajutrz tego, co się w dniu poprzednim nauczył, o zastosowaniu więc jej praktycznym myśleć nie było podobna. Mógł on tylko być maszyną odbierającą impuls i życie z cudzej, ukrytej ręki i to maszyną bardzo niedoskonałą.

Helena przyzwyczaiła go wprawdzie do tego, że zdawał jej sprawę ze wszystkich swoich czynności. W wielu razach jednak nie miał czasu zasięgać jej rady, doświadczenie zaś nabyte, było dla niego zawsze stracone, nigdy nie umiał zastosować je w praktyce, bo nigdy nie zdarzały się identyczne wypadki. Siostra musiała więc nieustannie czuwać i przewidywać.

Gdy lata wymagane przepisami prawa upłynęły, Bronek za namową siostry otworzył własną kancelaryę. Adwokat, u którego dotąd pracował, dziwił się temu i nie wróżył mu wcale powodzenia; tymczasem stało się wprost przeciwnie, wkrótce młody pomocnik zasłynął jako niezmiennie biegły, sumienny i pracowity prawnik. Obrony jego mianowicie służyć mogły za wzór logiki i krasomówstwa. Wprawdzie, jeśli był zaskoczony znieacka jakim nowym argumentem przeciwnika, nie zawsze umiał znaleźć na razie odpowiedź, ale była to już widać właściwość i niedobór umysłu, który rzadko wszechstronnym bywa. W swoim gabinecie także przyjmując klientów i rozpytując o sprawy, jakie mu powierzano, Bronisław rzadko bardzo odzywał się ze swoim zdaniem, zdanie to wypowiadał zwykle dopiero po głębokim namyśle, na drugi lub trzeci dzień, ale za to było ono tak gruntowne, tak dobrze umotywowane, iż można było śmiało na niem polegać, a klient, którego sprawy się podjął, mógł być zupełnie spokojnym, bo wszystko, co zależne jest od adwokata, zawsze zrobionem było.

Klientela Bronisława wzrastała, a nikt się nie domyślał, że sprawy jemu powierzone odrabiała kobieta, że ona to za draperyą przedzielającą gabinet, słuchała wywodu klientów, ona dawała im odpowiedź przez usta brata i pisała świetne obrony, które ugruntowały jego sławę.

Jej to było zasługą, że dobrobyt zapanował znowu w rodzinie, że matka wróciła do dawnych przywyknień i miała starość spokojną.

Życie Heleny jednak upływało w ciągłych walkach z fałszywem położeniem, w ciągłych niepokojach i w tych wysiłkach zabójczych, znanych tym tylko, których los zmusza nieustannie dźwigać na piedestał, wiecznie zsuwające się z niego istoty. A kiedy czasem upadała pod tym ciężarem nad siły, słyszała matkę mówiącą do przyjaciółek: »Bodaj to mieć synów, oni jedni utrzymać mogą rodzinę«.

Brat nie był jej wdzięczny za to, co dla niego robiła.

Jak wszystkie prawie pospolite natury był zarozumiałym i zazdrosnym, brał za dobrą monetę sławę, którą otoczyła siostra jego imię i powoli przyszedł do przekonania, że ona przywłaszczyła sobie nad nim jakąś niepotrzebną władzę, że trzyma go na pasku, a nawet, że go uciska i prześladuje.

Do wzbudzenia tego przekonania, przyczyniła się podobno głównie panna Józefa, zręczna i ładna kokietka, która postanowiła zostać żoną Bronisława i wzięła się sprytnie do rzeczy, skłaniając głowę przed jego mniemana wyższością i nie szczędząc mu pochlebstw. Bo też dzięki Helenie, Bronisław stanowił teraz świetną partyę. Zabiegi panny Józefy — jak zwykle bywa w podobnych razach — uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Walka pomiędzy ładną narzeczoną a siostrą, jest zawsze walką nierówną, kończy się niezmiennie porażką tej ostatniej, choćby nawet oddała bratu tak wielkie usługi jak Helena. Panna Józefa została panią Bronisławową, a wówczas dom jeden zaciąsnym był dla dwóch kobiet, nienawidzących się serdecznie, tem bardziej, że nowo przybyła miała tysiączne powody lękać się przenikliwości i wpływu bratowej.

Helena więc ustąpiła z domu brata, nieoceniana przez niego, przejęta do głębi serca niewdzięcznością, jaka ją spotkała, nie wynosząc z sobą nic z dóbr, do których on doszedł jedynie za jej sprawą. Wprawdzie Bronisław chciał jej płacić małą pensyjkę na utrzymanie, ale ona odrzuciła ją z dumą. Być utrzymywaną przez niego, to zdawało jej się zbyt wielką ironią losu.

Młodość jej przeminęła oddawna, zwiędła, zestarzała się przed czasem wśród zapasów życia. Zapomniała żyć na własny rachunek, i pora ku temu przeminęła. Kiedy była w wiośnie życia energiczna, pracowita i rozumna, jakkolwiek bez urody, byłaby zapewne wzbudziła nie jedno uczucie. Ale ona naówczas nie miała czasu oglądać się na cokolwiek lub na kogokolwiek, nie miała czasu zważać na bicie własnego serca; cel, do którego dążyła absorbował ją w zupełności. Dziś, kiedy nagle zabrakło jej tego celu, kiedy została wytracona z kolei, w której ubiegało jej życie, obejrzała się z przerażeniem w koło siebie, i jak niegdyś matka jej i brat po śmierci ojca, tak ona dzisiaj zapytała samej siebie: I cóż będzie teraz?

Energia jej była zużyta; praca, której oddawała się dotąd niepodobną dalej. Wszakże była kobietą, wszakże tylko ukradkiem i pod pseudonimem, oddawać się jej mogła. Próbowala znowu dawać lekcje jak to czyniła wówczas, gdy utrzymywała brata w latach uniwersyteckich, ale wyszła z wprawy i stosunków, ubiegł ją zastęp młodych pracowników, wyłącznie wykształconych na polu pedagogiki, a wśród tego zwartego zastępu było jej trudno zrobić sobie miejsce. Myśl jej przytem skierowaną była w inną stronę. Próbowala przełamać się, ale nie zdołała dokazać tego w zupełności i przy wielkim trudzie zaledwie potrafiła otrzymać parę nędznych lekcji, które dostała niemal z miłosierdzia.

Postanowiła wystarczyć sobie samej, a choćby jej przyszło umrzeć z głodu, ręki nie wyciągnąć do brata, do tego brata, co obszedł się z nią tak niewdzięcznie i poświęcił ją wierną, ją oddaną mu duszą całą, młodej małżonce.

Zrazu myślała, że spadnie za to na niego kara doraźna, że gdy jej nie stanie, odrazu runie sława jego, klientela i dostatek, jak pałace z kart pod tchnieniem wiatru. Pragnęła tego w głębi serca jako słusznego zadość uczynienia, i wyobrażała sobie jak on powróci do niej pokorny, nieszczęśliwy, jak oboje z żoną błagać ją będą o przebaczenie. Ona nie była zawzięta, ona była gotową przebaczyć, i na tę samą myśl, że znowu zasiadłaby na dawnym miejscu w gabinecie brata, znowu pracowałaby za niego i żyła jego życiem, serce jej uderzało gwałtownie, surowe rysy nabierały miękkości, oczy nabiegały łzami.

Czekała więc. Ale mijały tygodnie i miesiące, a brat się nie zgłaszał. Helena nie wiedziała jeszcze, że sława raz nabyta trwa nieraz dłużej niż talent i zasługa, które ją zbudowały. Bronisław wprawdzie przegrał jedną i drugą sprawę w skutek własnej nieudolności, z tego powodu zachwiała się może opinia o nim u kolegów prawników, ale ogół biegł jak dawniej za rozgłosem nabytym, a to trwało dość długo, by Helena straciła nadzieję i cierpliwość.

Wówczas przyszło na nią najstraszniejsze ze wszystkich zwątpień, zwątpienie o samej sobie. Wśród ponurych, jednostajnych dni jesieni życia, które dla niej nie złościł nawet żaden jaśniejszy promień, zapytywała samej siebie czy to, co stanowiło niegdyś cel jej bytu, nie było złudą, czy rzeczywiście ona postawiła brata na stanowisku jakie zajmował i czy nie była szaloną, poświęcając mu swoją młodość, swoje siły, swoje uczucia?

Spotkali się raz, w piękny wieczór majowy, on jechał z żoną powozem w Alei Ujazdowskiej. Życie spokojne dostatnie zachowało mu pozór młodości, spoglądał z zadowoleniem na elegancki ekwipaż, na strojną, uśmiechnioną żonę i na świat otaczający, kiedy nagle powóz zatrzymać się musiał z powodu natłoku, i zatrzymał się właśnie przy ławce, na której siedziała wynędzniała postać kobiety o energicznych rysach, w ubogim ubraniu. Oczy ich zbiegły się i oboje szybko odwrócili głowy; — ona, bo wstydziła się tego, czem została, on, bo jej zbyt wiele był winien.

WALERYA MARRENÉ.



TEOFIL LENARTOWICZ.

Są epoki w życiu narodów, w których mniej znaczy siła talentu, niż siła charakteru, mniej głębia myśli, niż głębia uczucia, bo przypadło ludziom w udziale walczyć, nie już w imieniu umysłowych prądów i przekonań, ale wprost w imieniu tych elementarnych praw, które być powinny zasadniczym wyrazem cywilizacji, a które jednak pogwałcone są w końcu dziewiętnastego stulecia, jak za barbarzyńskich czasów. Pogwałciła je Rosya na całym narodzie, którego członkom odmawia prawa bytu, kęsa zapracowanego chleba, powietrza do oddechu, tak dalece, iż Polak dotknięty jest starożytną klątwą, pozbawiony — ognia i wody. Kiedyś dzieje martyrologii naszej dostarczą niezawodnie kart równie prawie wymownych, jak pierwsze wieki chrześcijaństwa. I u nas ludzie idą na męczeństwo, nie za żaden czyn burzący porządek społeczny, — jakikolwiek on jest, — nie za bunt,

M. A. SOZAŃSKI.



TEOFIL LENARTOWICZ

spiski, opór władzy, ale wprost dla wewnętrznych przekonań. Mamy nowo wymyślone zbrodnie srodze obwarowane ukazowym kodeksem. Zbrodnią jest udzielać najprostszych nauk maluczkim i ciemnym; zbrodnią jest nawet urodzić się Polakiem, chociażby nawet polskość nie zaznaczyła się żadnym czynem lub słowem, prócz używania własnej mowy, wyznawania własnej wiary. Wśród narodu, znajdującego się w tak strasznym położeniu, zupełnie inne niż w normalnych krajach muszą być wymagania literackie. Mało interesuje nas forma, gładkość wiersza, bogactwo opisów, głębokość myśli, czyli to wszystko, co stanowi wartość poezji u szczęśliwych narodów. Nam chodzi głównie o to, z jaką siłą poeta zaznaczyć zdołał nasze krzywdy, cierpienia, uczucia; o ile ujął w gorące słowo i wypowiedział wyraźnie to, co wrze nam w piersi, dopominając się głosu; o ile dał wyraz krzykom doprowadzonych do rozpacz. Gładki, wytworny Tennyson nie znalazłby u nas echa, Lecomte de Lisle, Sully Prudhomme, cała szkoła parnasistów subtelnym wdziękiem »Pękniętej czary« lub »Zwiedłych kwieci« przeszłaby bez oddźwięku, bo cały naród powtórzyć może za Wallenrodem: »Tu róże zwiedły, innego chcę barda«; cały naród czuje, że mu potrzeba innego słowa. To nam tłumaczy niezmierną popularność niektórych autorów bez względu na to, czy czynią, lub nie czynią zadość wymaganiom szkolarskiej krytyki, bo drga w ich utworach nuta, której szukamy przedewszystkiem, mniej lub więcej wyraźna, stosownie do okoliczności — a ogół ją odczuwa.

Stuletnia niewola wyrobiła w nas zmysł nowy; wyrazy mają dla nas swoje ukryte znaczenie, o którym jednak nie śniło się symbolistom. Znaczenie to nie nadaje im żaden tajemniczy kościół, ani stowarzyszenie; nikt nie potrzebuje ich tłumaczyć, a wszyscy rozumieją. Powstają i rozpowszechniają się samorodnie jako wyniki konieczne danego położenia, jako owoc bezmiernych cierpień. Nie pojmie ich nigdy ten, co nie jest Polakiem, co nie wychował się na naszych łańcach i nie brał w serce naszych bólów. Polacy rzućeni w obce społeczeństwo, chociaż nawet odczuwają silnie swą narodowość, choć mają jednakże z nami ideały i pragnienia, tracą jednak ten zmysł nowy, i dlatego to tak trudno im się dostroić do naszego tonu, dlatego razi nas nieraz bezwiednie i nie zawsze rozumieją. Nie czujemy się z nimi związani tym tajemniczym, a najściślej wężem, jaki wyrabia ból wspólnych kajdan.

Wyjątkowe położenie wywołać musi wyjątkową literaturę. Nie szukamy w niej zadowoleń estetycznych, ale przedewszystkiem echa krzywd naszych; one zajmują nas więcej stokroć, niż wszystko inne, tem bardziej, że literatura jest jedną ze szczupłych manifestacji życia, jakie dać możemy, najważniejszem więc jej zadaniem jest świadczyć o tem życiu. Wypowiedział to kiedyś druh i towarzysz Lenartowicza, Roman Zmorski, w czterowierszu, którego całego znaczenia może się sam nie domyślał:

Bo pieśni wieszczów w narodzie są tak,
Jako w człowieku bywa serca bicie,
Co razem w ciele utrzymuje życie
I o życiu daje znak.

Znaku życia, naszego wewnętrznego życia, o to czego żądamy od literatury, to jest zadaniem naszych poetów, którym romantyzm nadał pełną znaczenia nazwę wieszczów, jakiej niema w żadnym innym języku. Zadaniem ich: świadczyć o życiu, a więc wieścić zmar-

twychwstanie. Powinna to być u nich owa zdolność główna — o której mówi Taine — około której grupować się mają wszystkie inne, bo znaczenie ich jest tylko pomocnicze. Naturalnie, im większy talent, tem znakomiciej reprezentować będzie ideę, której się poświęcił; ale u nas talent, idee, kierunki, podporządkowane są uczuciom narodowym. Nie oddzielamy też słów od czynu. Głos tych, którzy cierpią wraz z innymi mękę więzienia, Sybiru, wygnania, będzie miał zawsze najwięcej znaczenia, bo jest to dowód, iż całym sercem, bez wstecznej myśli oddali się sprawie, o której piszą, iż pieśni ich nie są sztucznym produktem danego nastroju, ale wyrazem głębokich uczuć. I wówczas dopiero naród nazwie ich prawdziwie swoimi.

Teofil Lenartowicz był takim poetą; słów od czynów nie oddzielał. Na wygnaniu strawił niemal całe życie. Wygnanie — słowu temu nadawać można dowolne znaczenie; nie zawiera ono strasznej grozy więzienia lub Sybiru. Iluż ludzi opuszcza kraj dobrowolnie, szuka w obczyźnie łagodniejszego nieba, łatwiejszych warunków społecznych, zabawy, odmiany wreszcie. Odmiana ta jest z pozoru lekka, nie ma nic radykalnego, bo przecież ludzie cywilizowani żyją mniej więcej wszędzie w jednaki sposób. Minęły czasy, kiedy słowo »obcy« równało się wyrazowi wróg; wśród obcych spotkać można przychylną, przyjaźń nawet. Pomimo to chleb wygnania pozostał zawsze słonym, jak go Dante nazywał; tak słonym, iż nieraz nieszczęśliwy trawiony tęsknotą spożyć go nie jest w stanie i umiera z braku ojczystego powietrza, lub też upada pod ciężarem nad siły; człowiek zostaje tylko ruiną samego siebie. Dzieje naszej emigracji wykazały dowodnie moralne choroby, jakie legną się na obczyźnie, pod wpływem niewłaściwego otoczenia na rozwój charakterów i talentów. Im poetyczniejsza natura, tem większa wrażliwość; wrażliwość potęguje cierpienia, a wyobraźnia, stawiając przed oczyma obrazy tego, co być mogło, zamienia w mękę chwilę obecną. Taką męką było całe życie Lenartowicza. Dla tego Mazura czystej krwi, wychowanka polskich równin, który od dziecka przeglądał się w szarej Wiśle, wstrętne było obce niebo, wstrętnymi najcudniejsze krajobrazy. Niezawodnie też wypowiada własne uczucia, gdy opisując wkroczenie do Turcji polskich rozbitków po węgierskiej wojnie, mówi:

Młody sultan im rady,
Pozastawiał biesiady,
Tysiąc dziewcząt dał im do wyboru.
Ale oni się smucą,
Pod palmami pieśń nuć
Nad modremi falami Bosforu.



mucił się Lenartowicz nie nad Bosforem, ale pod błękitnym niebem Italii, smucił się całe życie i z Włochami zjednoczyć się nie mógł. Ich żywość, wesołość razila jego tęsknotę; ich charakter narodowy sprzecznym był z jego marzącym usposobieniem. Tam jednak zamieszkał, tam umrzeć mu przyszło. Jeśli zaś

pomimo żrącego smutku i długich lat wygnania zachował do końca życia siłę talentu, stało się to dzięki tym głębokim ukochaniom, które nosił w sercu tak silnie wyryte, tym ideałom tak jasnym, iż przyswie-

cały mu zawsze niezachwianym blaskiem i były mu wiekuistym źródłem natchnienia. Męczeński więc był jego żywot, a zarówno czynem, wiarą, słowem natchnionem służył zawsze sprawie narodowej. Naród też odczuwał w nim człowieka sobie oddanego, z czcią przyjmował jego utwory i złożył mu obecnie zasłużony hołd po śmierci.

Lenartowicz urodził się z ojca Karola, a matki Maryanny z Kwasiebskich w Warszawie, w r. 1822. Rodzice jego nie byli zamożni, posiadali jednak dom własny przy ulicy Tamka. Tam to poeta ujrzał światło dzienne. Zapewne miał on siebie na myśli, gdy w »Wyrokach« włożył w usta Matki Boskiej przepowiednię losu przyszłego ubogiego dziecięcia, które już z góry nazwane jest sierotą.

..... Dla tej sieroty
Nie miecz skrwawiony, nie laur złoty,
Nie kij pastuszy, nie sieć rybacka,
Jeno uboga skrzypka tułacka.
W odwiecznej księdze ona wryta,
Cieniem żałobnym cała pokryta,
A na niej będzie pod niebem brzmiała
Wiernego ludu cicha pochwała.
Samotny pójdzie smętną doliną,
Dni jego łzami, pieśniami spłyną.

Rzeczywiście od dzieciństwa smutną była dola Lenartowicza; wcześniej osierocił go ojciec; życie całe walczył z ubóstwem. Skazany był na tułactwo i samotność. Próbował daremnie stworzyć sobie rodzinę; po kilku latach małżeństwa, utraciwszy dziecię i żonę, znowu pozostał samotnym. Te koleje przepowiada sam sobie w »Wyrokach«. Te ciężkie straty opiewa w wierszu »Trzy kamienie«, jednym z rzadkich utworów, w których mówi sam o sobie.

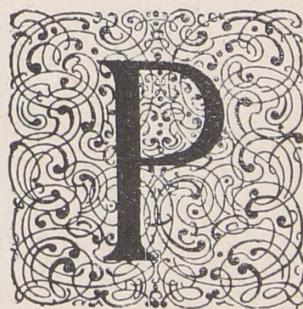
Ojciec jego był dwa razy żonaty. Z pierwszego małżeństwa (poeta nie pamięta, kto była z domu pani Lenartowiczowa) miał syna o wiele od Teofila starszego, imieniem Marcin, ten poświęcił się stanowi duchownemu i był człowiekiem wykształconym, jak o tem świadczy przyjaźń z Brodzińskim. Ksiądz Marcin przez czas jakiś był profesorem matematyki i rysunków w liceum warszawskim. Poeta pamięta, iż była w domu piękna miniatura ojca na słoniowej kości, roboty tego brata. — Z drugiej żony, Maryanny z Kwasiebskich, Karol Lenartowicz miał czworo dzieci. Dwie córki: Maryannę Szweczewską i Paulinę, primo voto Zawadzką, secundo Puchalską, oraz dwóch synów Józefa, zmarłego w dzieciństwie, i Teofila, który — jak się zdaje — był najmłodszym.

Rodzina Lenartowiczów herbu Pobóg, pochodziła z Litwy, oddawna jednak osiadła była w ziemi Sieradzkiej. Ojciec poety, dawny wojskowy, należący do ówczesnego politycznego i umysłowego ruchu, zapisał się do ksiąg miejskich warszawskich, idąc za liberalnym prądem. Czyn ten wymawiał mu generał Kazimierz Lenartowicz, bliski krewny, którego listy do ojca czytał w dzieciństwie swoim Teofil. Czytał także patent ojca na kapitana wojsk polskich, wydany przez Kościuszkę, za odznaczenie się pod Mokotowem w r. 1794. Inne pamiątki, o których wspomina w listach do krewnych były: 1) Patent wolnomularski ojca, oraz godła związku: fartuszek jedwabny i mała węgielnica. 2) Wspomniane wyżej listy generała Kazimierza, w których coś było o Konfederacji Barskiej i Albinie Lenartowiczu, mającym własną »partye« w tej pamiętnej walce, czego jednak poeta nie pamięta dokładnie, był bowiem jeszcze zbyt wielkim dzieckiem, by rozumieć wszystko, co czytał. 3) List pułkownika Ki-

lińskiego, pisany do ojca. 4) Pierścień herbowy rżnięty na krwawniku. Cenne te pamiątki zaginęły następnie w czasie ciągłych przeprowadzek, a pierścień matka, owdowiawszy, z biedy sprzedać musiała.

Ojca stracił Lenartowicz, gdy miał zaledwie lat siedem. Po tej śmierci rodzina znalazła się w krytycznym położeniu, ojciec bowiem był przedsiębiorcą budowlanym na wspólnkę z budowniczym Kubickim i strychciarzem Milewskim. Matka Teofila wyszła wkrótce za mąż powtórnie za Andrzeja Zawadzkiego. Był to człowiek już stary, który służył w wojsku jeszcze za czasów Stanisława Augusta. Jak na owe czasy, Zawadzki posiadał znaczny majątek, stracił go jednak wkrótce z powodu niebacznego poręczenia, a ta katastrofa pochłonęła także dom Lenartowiczów. Zamiast więc poprawić los dzieci, matka pogorszyła go jeszcze.

Teofil chował się po części na wsi u siostry Szweczewskiej, więcej jednak u ojczyma w Warszawie z powodu, iż musiał uczęszczać do szkół. W owym czasie skończenie szkół uważanem było pod względem naukowym jako zupełnie dostateczne. O wykształceniu uniwersyteckiem mało kto mógł marzyć, z powodu trudności i kosztów, jakie pociągał za sobą wyjazd za granicę. Prawa uczono się praktycznie, pracując u mecenasów lub aplikując w sądownictwie. Biura rządowe stały otworem dla młodzieży; ażeby się do nich dostać wystarczyło ukończenie czterech klas gimnazjalnych. Wielu też poprzestawało na nich. Po kilku zaś latach bezpłatnej aplikacji, młody biuralista dostawał etat i szedł już dalej wytkniętą koleją. Aplikację zaczynało zwykle bardzo młodo. — Lenartowicz wspomina, iż w dziewiętnastym roku życia pracował już w sądzie najwyższej instancji. Niewiadomo, kiedy stracił matkę, czy żyła jeszcze, gdy syn kraj opuszczał, czy też poeta był już wówczas pełnym sierotą. O matce, rodzinie, okolicznościach osobistych rzadko bardzo mówi Lenartowicz w swych poezjach. Wszystkie uczucia pochłaniała miłość kraju, bo ta zapełniała całą jego duszę i ta ślad swój zostawiła w każdym niemal wierszu, jaki napisał.



Przez krótkie lata młodości, spędzone w kraju, należał do budzącego się wówczas literackiego ruchu, który skupiał się około świeżo powstałej *Biblioteki Warszawskiej*, oraz w »Noworocznikach« i wydawnictwach zbiorowych zastępujących zbyt szczupłą liczbę czasopism. Głównymi przedstawicielami poezji, literatury i sztuki byli wówczas równie młodzi, jak Lenartowicz: Włodzimierz Wolski, Roman Zmorski, Cyprian i Ludwik Norwidowie, Seweryn Filleborn, Aleksander Niewiarowski, Józef Kenig (jedyne pozostałe przy życiu z tej całej grupy) i Ignacy Komorowski, muzyk, którego imię zespoliło się z imieniem naszego poety, gdyż podkładał melodye pod jego wiersze. Do starszych nieco należał Józef Bogdan Dziekoński, oraz August Wilkoński, którego dom stanowił ognisko umysłowego ruchu.

Bogdan Dziekoński, któremu wykształcenie uniwersyteckie nadawało pewną powagę, wywierał wpływ wielki na młodszą brać literacką i na jej kierunki. Od niego pochodził mistycyzm, zawsze przez romantyków ulubiony, a piętnujący dosadnie wszystkie dzieła twórcy »Sędziwoja«. On także dawał hasło ubóstwie-

nia ludu, jako żywiołu, w którym przechowały się wierzenia i obyczaje pierwotne, oraz nienawiść form konwencyonalnych, a nienawiść ta znów dała początek cyganeryi, będącej jednym z znamion epoki. Cyganeryi tej wyszukiwano różne powody. Niektórzy uważali, iż Dziekoński przeniósł ją na grunt warszawski z niemieckich uniwersytetów, na które uczęszczał w Dorpacie i Królewcu. Najważniejszą jednak jej przyczyną było położenie kraju. Młode siły, nie znajdując właściwego zużytkowania przy nieprawidłowych stosunkach, marnowały się, wytwarzając swawole nieraz dziwaczne i bezcelowe. Inteligentna młodzież, przez swoje aspiracje, stała w antagonizmie ze starszem, zaspanem pokoleniem filistrów — poprzestającym na używaniu dobrobytu, zteroryzowanym mikołajewskimi rządami. Wszystko więc, co było drogiem dla tych starszych — aż do form towarzyskich — młodzież odrzucała tendencyjnie, bo pragnęła ośmieszyć i zdyskredytować pozory, kryjące umysłową i moralną nicość.

W cyganeryi przodował Włodzimierz Wolski, śmiały i dowcipny. Lenartowicz miał zawsze w naturze porządek, jeśli więc należał do swawolnych wybryków towarzyszy, czynił to tylko pociągnięty przykładem, nigdy z własnej inicjatywy. Cyganerya zresztą służyła za pokrywkę spiskom politycznym, które na parę lat przed krwawej pamięci rokiem 1846 zawiązywali w całej Polsce wysłańcy emigracji. Należała do nich z małym wyjątkiem cała grupa młodzieży, o której mówimy. Nie dziw więc, iż jeden po drugim musieli kraj opuszczać, chroniąc się przed niebezpieczeństwem uwięzienia.

Lenartowicz wyszedł za granicę w roku 1847. Opowiadają, iż kiedy opuszczał ziemię rodzinną, całował ją i garść zabraną zawiesił na piersiach. Z pewnością jednak nie pomyślał wówczas, że ją opuszczał na zawsze.

W ostatnich latach swego pobytu w Warszawie, młody poeta dał się już poznać licznymi utworami i wśród niepoślednich talentów ówczesnych zajął jedno z miejsc naczelných. Wszystkie te talenta były silnie połączone duchem, myślą, kierunkiem, tak dalece, iż w wielu utworach zatracali indywidualne cechy i wypowiadali zbiorowo jednakię uczucia. Można by powiedzieć, iż jedni drugim udzielali swych darów, dzielili się wzajem chlebem myśli i kwiatem formy. Wolski posiadał najwięcej wykintu i subtelności, Cypryan Norwid pogłębienia, Zmorski siły, Lenartowicz uczucia, ale nieraz te osobiste znamiona ginęły w ogólnym nastroju.

O ile pozwalała na to cenzura, surowa wówczas — chociaż nie w tym stopniu, co dzisiaj — młodzi poeci poruszali śmiałą myślą niebo i ziemię, buntowali się przeciw powszednim kolejom, powszednim uczuciom, powszednim formom, powszednim obowiązkom. Wszy-

stkie kwestye, agitujące się na Zachodzie, znajdowały wśród nich odbicie. Iskry zapалу nieciły pożary — a miękki, tkliwy, sielski Lenartowicz znajdował gromowładne słowa, pełne potęgi, jak gdyby wydobywały się ze spiżowej piersi. Takim był wiersz *Do poezyi*. Śmiało powiedzieć można, iż jest to jeden z najpiękniejszych, jaki literatura nasza posiada. Jest w nim porywająca siła i plastyka. Ta białoramienna dziewczica, którą wieszcz nazywa z kolei: matką, prawdą, wiarą narodów — stanowi obraz pierwszorzędnej piękności i wierne przedstawienie znaczenia poezyi. Równą plastykę — tylko przybraną w starożytną szatę, owianą greckim spokojem — spotykamy w opisowym wierszu, osnutym na tle mytu o Laokoonie. Wiersz ten ma służyć za komentarz do marmurowej grupy, w której

mistrze dłuta przekazali potomności najwyższy wyraz bólu, jaki pojmowała młodzieńcza Hellada. Widzimy w wierszu Lenartowicza, jak kamienne uploty potwornych węzów, zesłanych przez mściwą boginię, wpijają się w ciało ofiar, jak zażarcie ich paszcze chlepczą krew z ran płynącą, jak mieni się bólem twarz kapłana i jego synów, członki wyprężają pod śmiertelnym uściskiem gadów, a całość pomimo to układa się w pyszne posagowe kształty. Niemniej piękny prolog okrutnego dramatu rzeźbi poeta, stawiając przed oczy czytelnika stubramy Ilion i zgromadzonych jego mieszkańców, gdy wśród urodziwych i silnych występuje z dwoma synami mąż w kwiecie wieku, urodziwszy, silniejszy od innych.

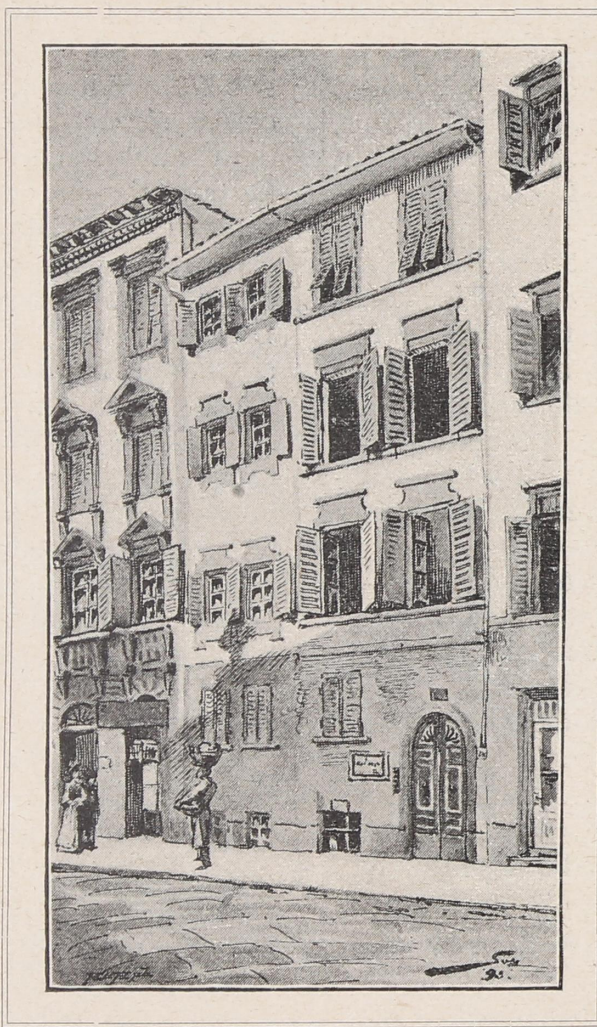
Arcykapłan Neptuna, kto on?
Syn Priama Króla — Laokoon.
I chwytając wołu za wieńczony kark,
Obala go siłą żyłastych bark.

Po spełnionej ofierze arcykapłan porwany wieszczym duchem, jak Cassandra, próżno miasto swoje ostrzega o zdradzie Greków, prorokuje upadek Ilionu, hańbę i mord jego mieszkańców — i woła przejęty zaciętą grozą:

Czyż te głowy starców białych
Niepomuszczone deptać będzie wróg?
I do wozów tryumfalnych wpręże
Ojców, z których wyszły Troi męże,
Dumny do swych zniżyć będzie stóp?

Cały poemat, zawarty w kilku kartach, kończy myśl głęboka, a pesymizmu pełna, oparta na znajomości życia, którą w owym czasie możnaby w Lenartowiczu nazwać przedwczesną, gdyby w atmosferze ogólnego nieszczęścia, ciążącego nad krajem, ludzie nie dojrzewali szybko. Myśl tę wypowiada poeta nad ciałem śmiertelnika, ukaranego przez bogów za to, że wydarł ich tajemnicę i usiłował wyrwać zagładzie to, co oni na zagładę skazali.

Taki był koniec trojańskiego wieszca,
Znamion kapłańskich jego święte znaki
I myśl została, co przyszłość obwieszcza.
Któregoż z wielkich koniec nie był taki?



DOM WE FLORENCYI, W KTÓRYM MIESZKAŁ
TEOFIL LENARTOWICZ.

Silą swoją i formą *Laokoon*, tak jak i wiersz *Do poezji*, nie różnią się od *Zapału* Włodzimierza Wołoskiego, od *Anioła-niszczyciela* Romana Zmorskiego, i wraz z nimi stanowią naczelne utwory całej grupy. Każdy z poetów mógłby zarówno położyć na nich swoje nazwisko. Ludzie, których drogi życia miały daleko rozejść się po świecie, którzy w przyszłości należeć mieli do skrajnych obozów, ludzie rozmaitych usposobień i uzdolnień, pod natchnieniem jednakich myśli, wydawali utwory nie naśladowane, a jednolite — nietylko pod względem treści ale

formy nawet. Były to utwory pewnej godziny, noszące jej znamię, nie zaś znamię tego lub innego poety. Znamię to jednak spotykamy jedynie na niektórych dziełach, kiedy twórca podnosił się ponad osobiste czynniki, zapominał o własnej indywidualności. Zjednoczenie przecież, w abstrakcyjnej nawet dziedzinie świadczy, iż nie było wówczas w całej grupie zasadniczego rozdzwieku, że jakiegokolwiek miały być później indywidualne kierunki — ześrodkowywały się one w danej chwili we wspólnym ognisku.

WŁADYSŁAW GROT.

(Ciąg dalszy nastąpi).



TEOFIL LENARTOWICZ I MIECZYSLAW ZAWIEJSKI.

URYWEK PIERWSZEGO BRULIONU »PANA TADEUSZA«.

Biblioteka polska przy Stacji naukowej w Paryżu otrzymała od zamieszkałej tamże staruszki, panny S. Tarkowskiej, jako spuściznę po ś. p. Waleryanie Chełchowskim, bliskim znajomym Mickiewicza i Domeyki z lat 1837—1841, oprócz 6 listów poety do Chełchowskiego obojętnej treści, nieprzepełniony dla krytyka skarb w trzech kartach rękopisu *Pana Tadeusza*. Na arkuszu, w którym były przechowane, właściciel — (W. Chełchowski, ur. 1811 r. um. 1872 r. podoficer 13-go p. ułanów, w emigracji urzędnik ministerstwa spraw wewnętrznych) — położył następującą zapiskę: »Dostałem od Ignacego Domeyki, przed jego wyjazdem do Chili, około 1838 r.« Jak mię objaśnił raczył syn poety, są to szczątki pierwszego szkicu, który Mickiewicz palił, a z którego Domeyko ocalił kilka kart; jedna ma do dziś dnia znajdować się w Chili.

Ręce drżą, dotykając świętej pamiątki; z pobla-

kłych rysów pióra wyziera-ż tu naprawdę pierwszy ruch myśli twórczej, pierwszy kształt arcydzieła w poczęciu?... Zagląda się w te żółte karty z lękiem i skupieniem, jakie musiał uczuwać Faust, kiedy zstępował »do matek«. Że poeta palił pierwszy pomysł utworu, rzecz łatwa do wytłómaczenia: są artyści, którzy nie żywią pietyzmu dla szkiców, gdzie zbyt wyraźnie krwawią się ślady zapasów formy z ideałem; jestto, jakby nazwać można, *pudor creandi*, dostrzegany u niektórych mistrzów, jak Michał Anioł lub Balzac, nie lubiących, aby ich podpatrywano w pracowni. Może też boją się, — a co prawda, obawa nie byłaby całkiem niesłuszna — że niepowołany krytyk, pedantyczny i jałowy, będzie poglądał na nieosłonięte i niebronne kształty dzieła, budzonego do bytu, jak lekarz na ciało dziewczęce, i zachwyt entuzjastów — patrzących choćby na medycejską Venus — będzie chłodził przypomnieniem,

że pod tem ciałem są kości i trzewia. Byłe jednak nawyczką krytycyzmu nie zepsuć w sobie zdolności instynktowego i niewyrozumowanego odczuwania uroku, jaki spływa z arcydzieł; byle każdej chwili umieć oddzielić w umyśle analizę piękna od jego świadomości, można niezawodnie z ostrożnego i rozumnego wczytania się w pierwszy, mętny jeszcze plan dzieła poety wydobyć rokosz wysoce artystyczny.¹⁾

Zanim na innym miejscu, w czasopiśmie specjalnem, poświęconem pamięci poety, przedstawi się podobiznę fotograficzną, oraz szczegółowy opis cennej relikwii, pośpieszamy pierwszą wiadomość o niej podać miłośnikom literatury za pośrednictwem *Świata*.

Rękopis składa się z pierwszej, trzeciej i czwartej karty arkusza *in fol.*, złożonego w pół, a mieści urywki ze sceny obiadowej, mianowicie sprzeczkę asesora z rejentem (pieśń I), następnie początek pieśni II: wyjazd myśliwych, polowanie z chartami i refleksy hrabiego na widok zamku w słonecznych blaskach. Od pierwszych wierszy, krytykowi ciekawemu historii tworzenia się poematu, rękopis gotuje zadziwiające niespodzianki, a stopniowa formacja, doskonalenie się i ustalenie tekstu aż do ostatecznego, dzisiejszego brzmienia przedstawiają zjawisko jedno z najwiedzienniejszych dla oczu psychologa i artysty.

W tym pierwszym planie poeta waha się jeszcze, którego z dwu ma Kusemu dać za pana: asesora czy rejenta.

Tadeusz, by nie zdradzić swego roztargnienia,
Prawda (mówił regencie¹⁾) rzekł assesorze, prawda, bezwątpienia,
Kusy (to mi chart) piękny chart niewiem tylko czyli chwytny,
Chwytny, krzyknął assesor, mój pies faworytny
(Nie miał) żeby być nie chwytny... (*sic*)

Ta zamiana posiadaczy idzie w parze z zamianą rysów charakteru przeciwników; brzydkie przywary asesora należały w pierwotnym planie do rejenta; skutkiem tego, z wewnętrznych przyczyn kompozycji, Kusy tak wyszydzony od zjadliwego złośliwca, musiał przejść do asesora. Cały ustęp, od wiersza (w dzisiejszem brzmieniu): »Na to zadrżał Assesor...«, wygląda w swej pierwotnej formie bardzo odmiennie:

Na to powstał Pan Regent, okropnie zawzięty,
Najzłośliwszym był znany pomiędzy regenty,
W głowie miał dosyć dobrze, a żądo w języku,
Choć kłaniał się i gadał grzeczności bez liku.
Na końcu zawsze ugryzł. (Był dawniej) Dawniej człek dostatni,
Schedę ojca swojego i majątek bratni,
Strwonił wszystko na wielkim figurując świecie
I teraz cudze sprawy prowadził w powiecie,
(Zap) Lubił bardzo myślistwo

Więc regent drżał i gładząc zwolna faworyty,
Rzekł z uśmiechem, a był to uśmiech jadowity.
Sławną Akademią macie Państwo w Wilnie,
(Ale) Lecz s katedry o chartach nauczano mylnie,
Inaczej o nich nasi sądzili przodkowie
I stąd wiadome wszystkim to dawne przysłowie,
Chart bez ogona

Pan Tadeusz od gniewu ledwie się posiadał
Wstał lecz tak był zmieszany, że chwilę nie gadał

Odpowiedziałby (srodze), groźnie, spór wszcząłby się (srożej) srożej gorzej,
Wtem wielkiem szczęściem dwakroć kichnął podkomorzy. —

Nowsze wydania, jak lipskie 1862 r. lub paryskie 1880 r. naznaczyły wariant niniejszego ustępu:

¹⁾ Zaznaczam nawiasem wyrazy, w rękopisie przekreślone; zachowuję wiernie pisownię oryginału; dla porównania tekstów raczy Sz. Czytelnik wziąć do ręki egzemplarz *Pana Tadeusza*.

Inaczej sądzą o nich w Warszawie, w Krakowie
I u nas na wsi. U nas jest stare przysłowie . . . ,

według drugiego brulionu. Widzimy jak poeta, może z pietyzmu dla wileńskiej akademii, w ostatniej redakcji wykreślił te żartobliwe wiersze, w obu brzmieniach doskonałe. Na innym znów ustępie można śledzić tę nieskończoną troskliwość, z jaką subtelnie rzeźbił wiersz, póki mu nie wykwitł z pod ręki skończenie piękny. Jest to opis przedsennej chwili woźnego Protazego:

Jedna ręka na szabli, drugą w górę wzniesie
I uroczystym głosem woła uciszcie się.
Tak marząc i wieczorne już kończąc modlitwy
Usnął woźny ostatni trybunału Li...

Nie skończył, bo składnia zdała mu się zawila i przerzuciwszy rym znalazł ten cudowny finał:

Marząc i kończąc pacierz wieczorny pomału,
Usnął ostatni w Litwie woźny Trybunału. —

Poczem dwa pierwsze wiersze, w rytmie nieco ciężkie, zmieniły się równie i pismem pobieżnem na marginesie zostały wypisane tak, jak brzmią dzisiaj. Tu, jak objaśniają wydania, kończyła się pierwotnie pieśń I; rękopis nasz daje materyalny dowód tego szczegółu, na tej samej bowiem stronicy zaczyna się *Pieśń druga*:

Któż z was tych lat nie pomni...

Znowu wiele odmian i znowu ciągłe ślady rzeźbiarskiej roboty mistrza. Ile razy naprzykład przekształcał się niedościgły w swej obrazowej jasności wiersz:

Runie nań z góry, jako gwiazda spadająca!...

Naprzód poeta rzucił wyrazy: Spada nań..., następnie szybki i pionowy ruch spadającego jastrzębia chciał wyrazić słowami:

Nagle spada nań prosto iako....;

następnie przekreślił wszystko i wypisał:

Runie nań z góry, iako...

Dla historii tekstu ciekawy będzie ten szczegół, że następujący ustęp, dziś w pieśni I., a przeniesiony tamże ze względów kompozycyjnych, należał pierwotnie do pieśni II. Po wierszach:

Surge puer zawołał, nad młodzi barkami
Wywijając wesoło pasek z ogórkami

czytamy w rękopisie:

Tadeusz wstał ubrał się wyszedł ze stodoły
Czuł że i niewyspany był i niewesoły.
Przyszły mu na myśl wszystkie wczorajsze wypadki
Spotkanie się, wieczera przy boku sąsiadki
A szczególnie mu słowo »ciocia« tkwiło w uchu
I iako gość niemiły, zasiadło mu w duchu,
Chciał wczora u woźnego lepiej się wypytać
O Pani Telimienie, lecz go nie mógł schwytać,
Rotmistrza też nie widział, bo zaraz z wieczery
Wszyscy poszli za gośćmi jak sługom należy...

W pochodzie myśliwych spotykamy drobne warianty, które szeregować tutaj, rzecz zbyteczna; zauważymy chyba, że oczywiście:

Assesor wiódł Kusego a regent Sokoła...

Zato scena księdza Robaka z Tadeuszem wyglądała w pierwotnem brzmieniu nieco odmiennie:

Chłopcze krzyknął Bernardyn, mości Taduleńku.
(Strzeż się wasze) Co to waść robisz będziem(y) mieć z sobą na pieńku.
Nierad słuchać kręcisz się widzę jak na igle
Cho, cho, Mospanie widzę ja waścine figle
Rzekł i palcem po nosie dawał mu znak groźby...

Następny ustęp przekreślany był kilkakrotnie, zanim zkrystalizował się w kształt ostateczny:

Pojęli wszyscy, stoją, (regent z) assesor(em) z regentem
Lecą sami po polu z kurzem i tententem.

Przekreślone oba wiersze, natomiast czytamy:

Pojęli wszyscy, stają; dwaj tylko myśliwi
Assesor i pan Regent pędzą niecierpliwi.
Tadeusz pierwszy przybiegł; za sędziego znakiem
Staął, długo oczyma śledził za szarakiem.

Ostatnie dwa wiersze znowu przekreślone a na ich miejscu znajdujemy:

Tadeusz był najbliższy wnet wszystkich wyprzedził,
Staął obok sędziego i oczyma śledził,
Dawno już nie był w polu (więc nie mógł odrazu
Rozróżnić barwy zwierza od szarości głazu)

Tu wyobraźnię poety uderzył ogólny ton *szarości*, wydobyty z widzenia szaraka, głazu i pola, a chęć utrwalenia tego tonu podyktowała mu wiersze:

... na szarej przestrzeni
Trudno dojrzeć szaraka wśród szarych kamieni

Snadź jednak takie wyszukanie efektu wydało mu się później zbyt sztuczne, gdyż w dzisiejszym tekście widzimy:

... na szarej przestrzeni
Trudno dojrzeć szaraka, zwłaszcza wśród kamieni.

Mistrz ma w pamięci i w wyobraźni cały obraz gonitwy: zając tuli się pod kamieniem i obraca na myśliwych rubinowe oczy; dwa charty lecą w parze, otulone tumanem kurzu; za nimi dwaj rywale cwałują na koniach; widzenie to przenosi się na papier i natychmiast w wykonaniu zaczyna miotać się niespokojnie, mącić, znów prześwitać, — szukać formy:

Tymczasem kurz na roli (cora) bliżej, coraz bliżej,
(Na) Leci na smyczy (sok) kusy, obok sokół chyży,
(A za nimi cwałują assesor z regentem),
Już assesor i regent wycza wrzaśli s tyłu
(I widzę (?) wnet na roli znikli w kłębach pyłu)
I iędzcy wnet na roli znikli w kłębach pyłu...

Cały ustęp, mimo liczne poprawki, zdał się poecie nie dość jeszcze wyrzeźbiony i w ostatnim dotknięciu, jak przez porównanie z wydaniem sprawdzić można, doznał nowych przemian. Za to kilkadziesiąt wierszy następnych powstało w momencie szczęśliwego na-

stroju: jak je mistrz, jednym zda się rozpędem rzucił na papier, tak pozostały, z nieznaczną zaledwie różnicą kilku wyrazów. Tutaj urywa się rękopis; ostatnie jego wiersze (z charakterystyki hrabiego) brzmią:

Szanowano go przecież, bo Pan s prapradziadów,
Uczynny, cichy, słowem najlepszy s sąsiadów...

I te ostatnie wyrazy wyglądają dziś inaczej, słowem, z każdej linii szkicu czerpać można podziw i naukę. Musi zginąć legenda, jakoby wielcy poeci nie mozolili się nad arcydziełami; jakoby wystarczało im jeno otworzyć mieszek, aby wyobraźnia sypała ziarnem szlifowanych brylantów. Nic bardziej pouczającego dla młodych zwłaszcza wierszopisów, jak zastanawianie się, nad takimi, jak nasz zabytkami; każdy z nich spoważnie nie wątpliwie, gdy obliczy, ile natężenia myśli i woli, ile pilności wymagało ostateczne wykończenie każdego frazesu, każdego obrazu. Dla nowszych wydań tekstu wyżej podane warianty użytku przedstawiać nie mogą; poeta ustalił go już w pierwszym wydaniu (1834 r.) a Bohdan Zaleski, najbliższy świadek powstania *Pana Tadeusza*, w liście do Władysława Mickiewicza¹⁾ wyraźnie i usilnie przestrzega, aby wydania owego strzeżono »od skażeń cudzych i niepotrzebnych wtretów«, gdyż »tekst edycji Pana Tadeusza z roku 1834 jest jedynie autentyczny, poprawiony, uznany i przyznany przez autora«.

Insze jednak prawo ma krytyk i estetyk; autograf poety w roztropnem ręku może się stać nieocenionym dla objaśnienia licznych stron jego temperamentu, artystycznych upodobań, sposobu tworzenia i obrabiania przedmiotu poetyckiego. Sądzymy, że nowo gotujące się wydanie krytyczne dzieł Adama Mickiewicza nie powinno by pominąć niniejszego zabytku, który się zjawia, jak świadek narodzin arcydzieła.

¹⁾ Adam Mickiewicz podczas pisania i drukowania »Pana Tadeusza«. Paryż, 1875.

EDWARD PORĘBOWICZ.

Z DZISIEJSZEJ POEZJI POLSKIEJ.

I.

FELICYAN FALEŃSKI.

(Ciąg dalszy).

Faleński jest poetą lirycznym, przecież sobą zajmuje się bardzo mało. Nie rozbiera swojej duszy, nie roztrząsa odbieranych wrażeń, nie zastanawia się nad każdym włóknem swego nerwu. Więcej jest klasycznej syntezy w jego utworach, niż nowoczesnej analizy. Ma ogromne poczucie natury. Szereg poezji z Tatr (»Odgłosy z gór«, 1871) należy do najpiękniejszych rzeczy, jakimi Tatry zapisały się w naszej literaturze. Śmiało powiedzieć można, że obok Asnyka są to najlepsze rzeczy w tym zakresie. Faleński wysokich szczytów i właściwej przyrody Tatr głębokich nie zna, a jeśli ją kreśli, to zupełnie fałszywie (»Koszysta«), ale za to małe dolinki, rozciągające się u wstępu regli, tatrzańskie lasy i polany, znajdują w nim doskonałego mistrza. Rzadko spotkać się można z tak trafnem odtworzeniem wrażenia, jakie sprawia rzeczywistość, jak n. p. w utworze opiewającym grozę i pustkę małej dolinki, położonej u stóp Giewontu nad Siklawicą, a noszącej nazwę »Pusty«. Stoi tam Giewont nagi, prosty, groźny, dominujący

ponad polem głazów, staczających się z jego skał w dolinę i zasypujących na niej każdy objaw życia organicznego:

...U wejścia w Sejm, gdzie siwych skał sterczące węgły
W lodowej ciszy chmurne rozważają sprawy,
Stoi w groźny próg wstrzęgły
Oprawca dolin, słońcem zachodowem krwawy.

Bowiem o wyszczerbiony krzemień tej opoki,
W koło której drząc szumią gór struchlałe rzesze,
Błyskawiczne wyroki
Gromowładną prawicą Bóg rozgłosnie krzesze.

Stoi tu sam wśród tego gniazda bujnej kłęski,
Wspaniały tą u stóp swych rumowisk ozdoba,
Lecz w tej chwale zwycięskiej,
Patrząc nań, strach cię bierze być sam na sam — z sobą!
(U stóp Giewontu).

A obok tego ponurego obrazu tatrzańskiej grozy, ileż łagodnych i idyllicznych krajobrazów górskiej natury, czarującej nas po kobiecemu ciągle zmienną twarzą.

Niebo się z ziemią zaręcza
Deszczem splakana,
Iskrząca wiąże ich tęcza
W majowe rano.
I srebrny pierścień miesiąca
Za złotą obrączkę słońca
Już pomieniano.

I niby róż białych krocie
Chmurki nad niemi w przelocie
Wiankiem zwieszono,
I gwiazd przetwarto podwoje;
Więc państwo młodzi oboje
Rumieńcem płoną. (Z rana).

Albo widok z Gubałówki na daleko położoną Babią Górę! Siedzi siwa śniegami starucha, oślepla od blasków słońca, od grzmotów głucha i grzeje się przy ognisku ze słońca zachodowego. Łyse czoło oparła o tła szafirowe, a lasy na niej szumią tak, że starowina się zdaje mrużyć pacierze. Czasami jednak ta sama niedołęzna i cicha na pozór starucha:

Wspomniałszy odwieczne lata
Gdy była młoda,
W czepiec obciaga łysinę
I wstęgi z błyskawic sine
Wiąże pod brodą.
(Odgłosy z gór XXVI).

Jest w tem zarówno dużo humoru, jak obserwacji i zrozumienia natury. Cały tomik »Odgłosów z gór« przeszedł jednak niepostrzeżony i dziś mało kto nawet wie, że posiadamy tak piękne wrażenia z Tatr już z przed lat dwudziestu. Czyż poezja Faleńskiego posiada jakie wady, które jej nie mogą uczynić popularną tak, jak utwory innych, często słabszych znacznie autorów?

Po części tak jest. Zaletę Faleńskiego stanowi siła i energia wyrażenia, wadę jego: afektacja tej siły, jak to określił Szujski. Zwięzłość jego przechodzi czasem w zawilść, w zagadkowość. Trzeba czasami odbudowywać wytrwale poplątane następstwo słów, zanim się zdrowe ziarno refleksji wyłuskać potrafi. Język wogóle niezwykle piękny, czysty, poważny, kształcony widocznie na Zygmunto-wskich pisarzach, miewa jednak czasami swoje dziwne upodobanie w wyrażach zgrzytliwych, chrzęszczących, odbierających mu prostotę i przejrzystość. Felicjan Faleński lubi szukać efektów językowych bardzo skomplikowanych i sztucznych (»...lodozwał z trzaskiem z procy wichrów pchnięty — i skał zręby miotane gradów grzmiących warstwą...«), które przeciętnego czytelnika odstrasza raczej, niż przynęcają do lektury, bo je nie zawsze pojmuje. Trzeba się podnieść na wysoki poziom literacki, aby piękności tego efektu zrozumieć i upodobać sobie w autorze: nie jest to oczywiście zarzut dla niego, owszem pochwała, ale ponieważ u nas smakoszy literackich jest liczba niewielka, więc też i koło czytelników poezji Faleńskiego musi być mniejsze, niż utworów, wierszowanych *ad usum* prenumeratorów różnych »Tygodników« lub »Przeglądów«. Limoniada smakuje lada dziecku, ale dla starego wina trzeba znawców.

Zarzucają nadto obu większym poematom Faleń-

skiego (»Termopile«, »Pod Kannami«), że są chłodne, wymuszone, bez ożywienia. Zarzuca to jednak krytyk, którego sądy estetyczne przedstawiają zazwyczaj wiele pola do dyskusji i który tym razem na pewno się pomylił. Wychodzi on z zasady, że tego rodzaju odległe temata »nie przedstawiają dla nas w dzisiejszych naszych stosunkach żadnego społecznego interesu i przez to samo nie dają żywotności poezji, jeśli ją uważać będziemy za jeden z czynników społecznego życia« (Chmielowski: »Pod Kannami«, w *Przegl. tyg.* V. 156). Rezultat równie błędny jak założenie. Oba poemata, pełne ognia i powagi, nie są bynajmniej winne tych wszystkich grzechów, jakimi ich artystyczne sumienie obarcza zbyt srogi spowiednik. Opowiadanie utrzymane w tempie miejscami nawet gorączkowem, nerwowem, prowadzone jest wprawdzie nie-

jednostajnie: czasem gubi się w mętnej zawierusze słów i obrazów, czasem rozplywa się w potężny strumień prawdziwie klasycznych, Eschilowych opisów. Przedmiotowego, starożytnego spokoju nie starał się autor, jak się zdaje, oddać, i nie oddał. Więcej tam w obu osobistości opowiadającego, niż potęgi sytuacji. Charakterystyka osób i narodów jednak bardzo świetna i barwna, język jak zawsze u Faleńskiego podniosły; wadę stanowi pewna rozwlekłość efektów, nużących czytelnika swoją jednostajnością: sam opis walki między Rzymianami a Hannibalem, zajmujący stron kilkanaście, oparty jest na jednych i tych samych motywach. Są jednak ustępy doskonałe i bez zarzutu w obu poematach. Terencyusz Warron drżący niecierpliwością spotkania się z wielkim Hannibalem i gotujący się do walki wbrew złowróbnym przepowiedniom, odmalowany jest doskonale:

Podszedł Aruspex badać święte trzewa
I cofnął kroku: dym się z nich wyziewa
Dołem — i nie chce w niebo iść i w oczy
Gryzące kłęby z głuchym trzaskiem toczy.
Warron czas jakiś dumał troską niemy.
Wtem rzekł: Odwlekać późno już. — Pójdziemy!

Więc dobrze. Pójdą. Czemu nie? Iść snadno.
Ale jeżeli pójdą i przepadną?...

— Głupstwo! — (tak sobie wódz w swej myśli powie)
Uciekał kogut? — pierzchną więc Gallowie.
Grzmiał puszczyk z prawej? — więc wódz wyćwiczony,
Emiljusz, z jazdą pomknie z prawej strony.
Ku nam wracały krwawych ofiar dymy?
Więc też sprawiwszy rzeź i my wrócimy...
A zresztą — wicher gnał je...

(Z *ponad mogił*, str. 93).

Nie są to poemata epiczne, ale raczej opowiadania na tle lirycznym, tak dalece się w nich uczucie autora na każdym kroku przebija. W ogóle bowiem praca Faleńskiego jest na polu liryki najwydatniejszą. Urodzony w r. 1825 rozpoczął swoją działalność literacką w *Bibliotece warszawskiej* i w dodatku do *Czasu* od większych i mniejszych poematów, z których mniejsze zebrawszy razem, wydał w roku 1856 osobno w Warszawie p. t. »Kwiaty i Kolce«. Lucyan Siemieński wróżył na ich podstawie młodemu pocie świetną przyszłość (»Kilka rysów«, II, str. 59), a zda-



KSIĄDZ SPIESZĄCY DO UMIERAJĄCEGO
TEOFILA LENARTOWICZA.

nie tego surowego i bystrego estetyka nie zostało zawiedzione późniejszą działalnością Faleńskiego. Po r. 1870 wydał kilka zbiorów, zebrawszy porzucane po czasopiśmie poezje: »Z ponad mogił«, »Odgłosy z gór«, »Świstki Sylena«. Oprócz tego stworzył kilka dramatów, stojących oczywiście po za obrębem naszego rozpatrywania. Z tych jeden wzorem greckim pisany: »Altea« (drukowany w *Bluszczu*), jako najlepsza może ze wszystkich prac Faleńskiego, byłby wart szerszego rozpowszechnienia. Po za »Odpawą posłów« nie mamy bowiem może w naszej li-

teraturze drugiego dramatu klasycznego, takim wspa-
niałym językiem napisanego. Obok tego poświęcał się Faleński nowelistyce, wydawszy tom utworów powieściowych, wykończonych bardzo starannie pod względem charakterystyki osób. Należy również wspomnieć studyach literackich (nad Kochanowskim, Szarzyńskim etc.), o których wartości wiedzą dobrze badacze złotego wieku. Wreszcie wydał tom bardzo pięknych, bo wiernych a równie kunsztownych jak oryginał, przekładów Petrarke, pierwszy dając go nam w całości w szacie polskiej.

STANISŁAW ESTREICHER.

(Ciąg dalszy nastąpi).



M. A. SOZAŃSKI I T. LENARTOWICZ.

UROCZE OCZY.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH.*)

(Ciąg dalszy).

AKT IV.

Scena przedstawia piękny ogród o charakterze na wpół staroświeckim na wpół nowoczesnym. Partery kwiatów i bujne zarośla krzewów. Kolumna zakończona wazonem. W głębi dwór z gankiem, do którego wiodą schody kamienne. Nad drzwiami dworu obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Na ganku ławki. Na pierwszym planie *na lewo*, blisko kulis, olbrzymia lipa; pod nią ławka, krzesła ogrodowe i stół, na którym leżą dzienniki i czasopisma. *Na prawo*, także na pierwszym planie, w zagłębieniu, jakie tworzy kłęb z bzów, jaśminów i róż cukrowych — w półkieszy wycięty — stoi również stół i krzesła ogrodowe. W pewnej odległości, nieco w głębi, pod brzozą — ławka. W bocznych kulisach, na prawo i lewo, wyraźnie zaznaczone na scenie rozpoczynające się szpalery ze strzyżonej grabiny i osiczyzny.

SCENA I.

KSIĄŻĘ (siedzi na lewo na ławce i czyta gazetę), HRABIA (na ławce pod brzozą, także z dziennikiem w ręku), SZAMBELAN i MATYLDA (siedzą na prawo pod kłębem), MACIEJ (w parę sekund po podniesieniu zasłony — w ciągu których panuje głębokie milczenie — wychodzi z drzwi dworu na ganku i powoli zstępuje ze schodów. — Wszyscy

na niego patrzą. — Kiedy jest już w ogrodzie i zwraca kroki w stronę szpaleru na prawo, hrabia powstaje i zastępuje mu drogę. — Książę także powstał, ale nie ruszył się z miejsca, tylko uważnie przysłuchuje się rozmowie Augusta z Maciejem).

HRABIA.

Cóż tam?

*) Autor zastrzega prawa swoje w obec scen polskich. (Przypisek Redakcyi).

MACIEJ.

Co jaśnie pan rozkaże?

HRABIA (zakłopotany).

Chciałem... dowiedzieć się, gdzie jest panienka... pani kasztelanowa... i moja żona?

MACIEJ.

Pewno są w pokojach.

HRABIA.

A panna Petronella?

MACIEJ.

Nie widziałem... Może u jaśnie pani. Czy pójść poprosić?

HRABIA (żywo).

Nie trzeba. (Po chwili). Więc nie wiesz?...

MACIEJ.

O czym, panie hrabio?

HRABIA.

Nic... nic... możesz odejść. (Maciej odchodzi na prawo. — Hrabia siada i bierze znowu gazetę do ręki. — Księżę siada i także pograża się w czytaniu).

SZAMBELAN (po cichu do Matyldy. — Cała dalsza rozmowa męża z żoną prowadzi się półgłosem, tak, że hrabia i księżę jej nie słyszą).

Szczwany lis, ten wasz stary sługa, — z niczem się nie wygadał.

MATYLDA.

Bo nie wie o niczem. Pewną jestem, że nie sły-
szał. Z salonu, w którym się odbyła straszna awan-
tura, do kredensu daleko. Ach! wyjeżdżajmy ztąd,
wyjeżdżajmy czempredzej... Ja się tak boję!

SZAMBELAN (panując nad rozdrażnieniem, które jednak ciągle nerwowo
wzrasta).

Czego?... Uspokój się. To były tylko objawy
hipnotyzmu.

MATYLDA.

Cóż to jest hipnotyzm?

SZAMBELAN (namyśla się i mówi po chwili).

Tym razem miał być środkiem obudzenia miłości.

MATYLDA.

Przez sen?

SZAMBELAN.

I na jawie... Ale się nie powiódł. (Po chwili).
Wszakże widziałas w warszawskiej sali ratuszowej
doświadczenia Donata. — Temu się udawało!

MATYLDA.

Widziałam. Ale przecież wszyscy utrzymywali,
że to oszukaństwo, złudzenie...

SZAMBELAN.

W naszych czasach i złudzeniom wierzyć nie-
kiedy należy. — Ot! Zdzisław... myślałem, że to
niby taki drugi Donato...

MATYLDA.

Chyba nie on, tylko pan Ludwik, bo Terenia
nie jego, tylko pana Ludwika kocha.

SZAMBELAN.

Ha! może i pan Ludwik. Nikt nie odgadnie te-
raz, w którym prawdziwy hipnotyzm siedzi.

MATYLDA.

To też uciekajmy ztąd, mój drogi...

SZAMBELAN.

Ooo! uspokójże się. Nerwom nie można dawać
panowania nad sobą. Wprawdzie babcię i Terenię
zastaliśmy rozstrojone — tak rozstrojone — a Karla,
August, ty... no! nawet i ja potroszę, chociaż naj-
rozsądniejszy z całej rodziny... ulegliśmy wpływowi ich
rozstrojenia, przyznawać się jednak do tego nie wy-
pada. To śmieszne!

MATYLDA.

Bo ta burza...

SZAMBELAN.

Burza minęła, piasek pod nogami naszymi już
suchy, a na liściach ledwie tu i owdzie wieszają się
ostatnie kropelki deszczu.

MATYLDA.

A jednak tak ciężko oddychać. Lękam się...

SZAMBELAN.

Przyznaję, że jest... jest coś... co przejmuję
dreszczem i niepokoi, ale ja to przypisuję nie rze-
czom nadprzyrodzonym, lecz prądom rewolucyjnym,
płynącym tuż — tuż koło nas, a które przykrywają
się dla niepoznaki mgłami hipnotyzmu. Powiadam ci,
ten dom patryotyczny musi być ogniskiem rewolucji;
bo jeśli obecnie czuję się jakiś nie swój, to jedynie
dla tego, że weszę coś podobnego do nowego po-
wstania.

MATYLDA.

Boże! mój Boże!

SZAMBELAN.

Ale ty się nie bój, bo ty na tem poznać się
nie możesz...

MATYLDA.

Tem gorzej...

SZAMBELAN (bardzo cicho).

A trzeba koniecznie zachować zimną krew, bo
interesu — kiedyś tu przyjechali — z oczu spu-
szczać nie należy. Interes przedewszystkiem. (Powstaje
i wskazuje ręką na hrabiego i księcia). Muszę z nimi odbyć
jeszcze jedną konferencję.

MATYLDA (zatrzymuje męża za połę).

Tylko ostrożnie! Bądź co bądź on ma urocze
oczy. Boję się...

SZAMBELAN (nerwowo).

Dajże pokój! (Idzie do księcia). Mój Zdzisławie,
trzebaby pomówić szczerze, co począć w sytuacji
obecnej.

KSIĄŻĘ (podnosi głowę).

O co ci chodzi?

SZAMBELAN.

Twierdzę, że należałoby się porozumieć...

KSIĄŻĘ.

Wszelkie porozumienia uważam teraz za zby-
teczne.

SZAMBELAN.

Ależ...

KSIĄŻĘ (powstaje).

Przepraszam cię. Mam migrenę... przejść się muszę. (Pozostawia gazetę na stole i odchodzi szpalerem na lewo).

SZAMBELAN (do siebie, patrząc za nim).

Pi, pi!... migrena na zawołanie. (Po chwili idzie do hrabiego i siada przy nim na ławce). Mój Auguście...

HRABIA (jakby przebudzony).

Co?!

(Ciąg dalszy nastąpi).

SZAMBELAN.

Trzeba przecież pogadać o interesach... porozumieć się...

HRABIA.

Żartujesz chyba!...

SZAMBELAN.

Ależ...

HRABIA (powstaje).

Przepraszam... głowa mnie boli. (Odchodzi szpalerem na lewo).

ZYGUNT SARNECKI.

Z TEKI MIESZCZANINA POLSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Z zaprzeczenia, jakoby istniały stałe historyczne powody nierozwinięcia się w Polsce nauk wynika, że trzeba szukać przyczyn czasowych, to znaczy, że trzeba w każdym okresie badać z osobna dlaczego w nim nauki kwitnęły lub nie kwitnęły. Mojem bowiem zdaniem były czasy, w których nauka w Polsce wykazuje stan bardzo zadawalniający.

Zważyć przedewszystkiem należy na młodszość cywilizacyjną. Narody zachodnie odbyły już wcale długi pochód dziejowy, kiedy my dopiero zapisywaliśmy się do rodziny ludów europejskich. Dopiero w 165 lat po koronacji Karola Wielkiego na rzymskie cesarstwo odprawiła się pierwsza msza wobec księcia polskiego. W ten sposób schyłek X wieku stanowi zaledwie naszą kolebkę cywilizacyjną. Nie kwitną nauki u kolebki żadnego narodu, nie mogły tedy kwitnąć w naszych zawiązkach dziejowych; te czasy usuwają się zupełnie z pod dyskusji. Wiadomo, że nauka mogła wówczas powstać i rozwijać się jedynie w stanie duchownym. Pierwsze tegoż zastępy musiały być cudzoziemskie i minęły dwa pokolenia, zanim kraj choć powierzchownie był nawrócony — a i minęło pół wieku, zanim powstała kościelna prowincja polska, a drugie pół wieku zanim można było pomyśleć o narodowym duchowieństwie, którego liczniejszy zastęp widzimy dopiero w drugiej połowie XII wieku. Wtenczas dopiero rodowici Polacy zaczęli się garnąć do nauki, której stan duchowny wymagał i wytworzyła się pierwsza warstwa społeczna, zawdzięczająca nauce swoje stanowisko. Nie można powiedzieć, żeby to było późno, bo sprawa ta w żadnym innym narodzie nie wymagała mniej czasu. Godnym reprezentantem tego pokolenia jest mistrz Wincenty Kadłubek, pierwsza wybitniejsza osoba górująca ponad tą warstwą inteligencji, z której wyrosła. Odtąd przez dłuższy czas nie brak już takich jednostek. W trzecim wieku, od zaciągnięcia się pod sztandary zachodniej cywilizacji, dodaliśmy już do kultury tej europejskie nazwiska Marcina Polaka, autora pierwszej w ogóle w chrześcijaństwie historii powszechnej, którego począwszy od kuryi rzymskiej ceniła cała Europa, tudzież kanonisty Mikołaja Polaka, że już przemilczymy Ciołka, założyciela optyki, który był tylko Turingo-Polonus. Fakt, że istniała warstwa społeczna, z pośrodku której tacy ludzie wyrastać mogli, każe o wieku XIII wydać sąd nader pochlebny, że zaś pochodzą oni rzeczywiście z pełnej warstwy, dowodem synody współczesne, które głośno oświadczają, że Polska może się zupełnie obejść bez duchowieństwa cudzoziemskiego, że więc posiada dość ludzi naukowo wykształconych.

Cóż kiedy ani Marcin Polak, ani Vitellio nie mieli następców. W XIV wieku razi nas widoczny upadek nauk, a jedyną książką jest kronika Janka z Czarnkowa. Nasi pierwsi mistrzowie nie mieli uczniów. (Zapamiętajmy sobie tę okoliczność, przyda się o tem pamiętać nawet w nowożytnych czasach.) Król Kazimierz Wielki zakłada uniwersytet, ale kraj nie ma sił do utrzymania go.

Fakt założenia uniwersytetu wskazuje bądź co bądź, że były żywioły, pragnące zaaklimatyzować nauki na stałe w kraju, które czuły potrzebę odrodzenia nauk, dzieje zaś wieku XV dowodzą, że nie brakło u nas materiału do wytworzenia ruchu naukowego. Katalogi naszych bibliotek dowodzą, że w XV wieku nie było na porządku dziennym współczesnej dyskusji w Europie takiej kwestyi naukowej, którejby i u nas nie roztrząsano. Wywiązuje się rywalizacja i polemika naukowa, ogarniająca coraz szersze koła uczonych, a imion słynnych bynajmniej niebrak, choćby wspomnieć tylko Długosza, Brudzewskiego, Jana z Głogowy i Pawła Włodkowica. Uczni ci mają, nadto uczniów, nie brak im następców; powstaje u nas ciągłość naukowa z pokolenia w pokolenie. Biblioteka Jagiellońska i cesarska w Petersburgu starczą na dowód, że istniał wtenczas świat naukowy polski i że ruchu w nim nie brakowało.

Tu wypada dotknąć jednej sprawy, na której się zwykło jeździć, jak na ulubionym koniku. Każdy z nas osłuchał się tysiąc razy argumentu, brzmiącego mniej więcej tak: Polacy pielegnowali filozofię scholastyczną, kiedy ona na zachodzie już się przeżywała, a zatem cała ta praca XV wieku nic nie warta. Prawda, że Tomasz z Akwinu umarł już w roku 1274, Duns Scotus 1308, a Okkam 1347, że w XV wieku pisali już Cusanus, Pico Mirandola i Savonarola, ale czyż ci nowi wytworzyli jaką nową filozofię? Wszelkie ich wątpliwości objawiane co do filozofii scholastycznej, wszelkie utyskiwania na *docta ignorantia* miały w XV wieku bądź co bądź tylko negatywną wartość, ale nic nowego konkretnego jeszcze nie stawiały. Gdyby po wieku XIII-tym nie było w rozwoju naszej nauki tej fatalnej luki wieku XIV-tego, natenczas niewątpliwie wiek XIV-ty byłby się zajął zagadnieniami Tomasza i Duns Skota, a potem możnaby może w XV-tym wieku wyrażać niejake wątpliwości co do teoryj zesłowiecznych. Ale w Polsce zesłowiecznych teoryj nie było wcale, a wznosząc na nowo gmach wiedzy, dokądże należało się zwrócić? Kwestye kuzańskie tam tylko mogły mieć jakiekolwiek znaczenie, gdzie filozofia scholastyczna zapuściła korzenie. I w Polsce był

Grzegorz z Sanoka śmiejący się z *somnia vigilantium*, ale nie mógł powstrzymać koniecznego, nieuchronnego faktu, że ogół miłośników wiedzy zwracał się nie ku negatywnym, lecz pozytywnym myślicielom zachodu, bez względu na ich współczesną wartość, bo to była jedyna droga nauczania się czegoś. Pisma myślicieli XV-tego wieku były wręcz niezrozumiałe bez poprzedniego przetrawienia filozofii wieku XIV-tego, bo oni sami o tyle tylko mieli rację bytu, o ile gdzieś istniała filozofia scholastyczna. Chcąc w tej dyskusji wziąć udział, trzeba było koniecznie przyswoić sobie najpierw to, co przerobiła Europa przez wiek XIV-ty, a co Polska zaniedbała. Młodsza i tak cywilizacyjnie, cofnęła się jeszcze o jeden wiek, a przez zaniedbanie tego samego wieku, który musiał utracić Śląsk i Pomorze,

(Ciąg dalszy nastąpi).

stała się jeszcze o jeden wiek młodszą. Ale przeciw uczonym naszym XV-tego wieku zarzuty są zupełnie niesłuszne; słuszne byłyby tylko wtedy, gdyby w XV-tym wieku, obok scholastycznej filozofii, istniało na Zachodzie także jeszcze coś innego pozytywnego, konkretnego. Oni działali tak, jak inaczej nie mogli, a że cała ta nasza sumienna, gorliwa praca XV-tego wieku nie wydała w zakresie filozofii ani jednego wielkiego imienia, to rzecz naturalna w obec tego, że najznakomitsze dzieła w tym zakresie już dawno wyszły były, że tam właściwie nie było już nic do zrobienia. To też my nie jesteśmy scholastyki współpracownikami, lecz tylko epigonami, dodajmy, że epigonami dla Zachodu całkiem obojętnymi i niepotrzebnymi.

DR. FELIKS KONECZNY.

PIERWSZA MIŁOŚĆ ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Pani Joanna tymczasem nietylko, że była w Neapolu nieobecna, ale, co gorsza, od czasu, jak wyjechała z Rzymu, nie dawała znaku życia o sobie. Krasiński, w śmiertelnym niepokoju, co się z nią stać mogło, nie wiedząc już, co myśleć, czy przypadkiem nie postanowiła zerwać — czem by się czuł zraniony boleśnie w swojej miłości własnej — »przeczuwał coś złego« i nie mogąc sobie dać rady, bo mógł co najwyżej wysłać list po liście, na które jednak żadnej nie otrzymywał odpowiedzi, do tego stopnia stracił głowę, że »nie wiedząc już, jak ukoić czy oszukać swój niepokój«, poszedł... po wróżby. »Im bardziej człowieka silna wiara odstępuje, tem bardziej staje się podejrzliwym i zabobonnym. Człowiek taki potrzebuje w coś wierzyć, i w końcu w samego dyabła uwierzy«. Udał się więc, razem z Jaroszyńskim, we dwóch tylko, do zakonnicy klasztoru Trenta Tre pod Neapolem i prosił je o przepowiednie. Niechaj mu powiedzą, co robi jego ukochana? gdzie jest? czy żyje? czy się jej jakie nieszczęście nie stało? czy długo jeszcze żyć będzie? jaka jej przyszłość?... Można sobie wyobrazić rozpacz Krasińskiego, kiedy mu siostry przepowiedziały... rychłą śmierć ukochanej. *Donna Giovannina morirà presto*, orzekły. Nadto *la sua morte sarà dura*, dodały, a kiedy poeta, prorocstwem tem, jak gromem rażony, przerwał: *Perche?* odparły: Dla tego, że jest *giovane, sensibile e affezionata...*¹⁾.

¹⁾ Zob. Listy do Jaroszyńskiego str. 18. Odyńiec w swoich listach z podróży (T. IV str. 88, 89) tak opisuje klasztor *Trenta Tre*: »Ale cóż ci powiedzieć o tych biednych, czy świętych duszyczkach, co same dobrowolnie, jak żywcem w katakumbie, zagrzebują się w klasztorze żeńskim *Trenta Tre*, którego wziętość i świętość słyne tu przed innemi i jest przedmiotem ogólnej czci i uwielbienia? Reguła tak jest ścisła, że skoro młoda profeska próg klasztoru przestąpi, na Józafatowej już chyba dolinie, oprócz sióstr współzакonnic, inne twarze ludzkie zobaczy. W *Parlatorium* żelazna blacha, zamiast kraty, odziera je na wieki i zasłania od świata, a zaś do wnętrza klasztoru,

»Ten dzwon pogrzebny« pozbawił go na długi czas reszty spokoju.

W takim usposobieniu żegnał poeta — jednego z pierwszych dni kwietnia — świadka tej sceny, Edwarda Jaroszyńskiego, który, wsiadłszy wraz ze swoimi, ojcem, bratem i siostrą, na okręt parowy, po serdecznym pożegnaniu z przyjaciółmi i z klasyczną ziemią Italii, na którą do końca życia »chorować« nie przestał, odpłynął do Odessy, niepewny, jakie go tam złe czy dobre czekają losy²⁾.

Krasiński tymczasem, choć namawiany przez księżnę i Zabiellów — a i przez Soltana listownie — ażeby wracał na wielki tydzień do Rzymu, został się w Neapolu »dla pokrycia ciężkiego smutku«, który go, jak powiada, rozdzierał. W Rzymie — przeczuwał to doskonale — wszystko by mu podczas uroczystości wielkanocnych przypominało zeszlóroczne razem z pa-

nietylko nigdy gość obcy, ale nawet miejscowe służące wejść inaczej nie mogą, jak wtedy, gdy się siostry modlą w kościele... Tu już rozum korzy się przed duchem; a zaś duch, uświęcający ofiarę, jakby na przykład dla świata, to dobrowolne, wyrzeczenie się jego widoku, wynagrodza cudownym darem jasnowidzenia przyszłości. Zakonnice tego klasztoru mają tu sławę prorokiń i ludzie wszelkich stanów, a nadewszystko panienki przed ślubem, zasięgają ich rad, jak wyroczni.

W tej chwili (w r. 1830) najslawniejszą w tym względzie jest sama przełożona *Agnieszka Ferrari*. Jeden z listów swoich do Jaroszyńskiego (z Neapolu d. 29 grudnia 1838) zaczyna Z. Krasiński w ten sposób: »Na tych samych brzegach, z których wsiadałem z tobą na łódkę, z których patrzałem na okręt parowy, co z tobą odpływał (w kwietniu 1835) i żegnał mnie czarnym dymem, gdyby krepą żałoby; na tych samych brzegach, gdzieśmy się o *Donnę Giovanninę* i o siostrę twoją pytali, przedzieleni murem od tego głosu, co nam tak dziwnie odpowiadał, nam, stojącym pod obrazem Chrystusa; wczoraj twój list odebrałem«. Ma tu Krasiński na myśli ową scenę właśnie w klasztorze *Trenta Tre*.

²⁾ Po przybyciu do kraju, został Edw. Jaroszyński uwięziony, a ostatecznie wysłany do Wołody, a ztamtąd do Nikolska, gdzie się w nim zakochała namiennie córka jednego z tamtejszych wysokich urzędników. Nie przeszkadzało mu to jednak studyować filozofię Hegla, którego do końca życia zapalonym był zwolennikiem. O Jaroszyńskim obszerniej rozpiął się Dr. Antoni J. Op. cit.



KOŚCIÓŁ S. LUCIA DEL PRATO WE FLORENCYI.

nią Joanną przepędzone święta. Wolał sobie przykrości tej oszczędzić i dla tego wyjechał dopiero 1 maja. Przez cały czas, pomimo rozrywek i towarzystwa przyjaciół, i pomimo zaabsorbowania umysłu »Irydyonem«, nad którym nie ustawał w pracy, »najprzykrejsze myśli wiły mu się po głowie«, myśli, których goryczy nie osładzało przekonanie, że »i zdaleka kochać można tak jak zblizka«, a których wpływ zabójczy, prawdziwie destrukcyjny, pod względem psychologicznym, nieszczęśliwy poeta — w dodatku chory jeszcze na oczy — usiłował niekiedy redukować do *minimum* za pomocą filozoficznej, specjalnie *ad usum Delphini* wykombinowanej przez siebie maksymy (nędzna pociecha!), że »w człowieku każda chwila, pora każda, stać się może miłością i szczęściem wtedy dane mu jest chwil kilka, które przedłużają się w wspomnieniu, choć znikną w rzeczywistości«.

... W podobnym świecie wspomnień żyła odtąd i pani Bobrowa. Nawiasem mówiąc, nie jej tak wyraziście, tak jasno nie stawało przed oczyma duszy obrazu owych »dni jedynych i zbiegłych«, jak niewielkich rozmiarów książka do nabożeństwa, którą w formie upominku dostała niedawno temu od Zygmunta¹⁾. Był to stanowczo najcenniejszy skarb, jaki posiadała obecnie.

¹⁾ Książka ta znajduje się dziś w posiadaniu wnuków pani Bobrowej, w Warszawie. Przypuszczam, że musiał ją Krasiński napi-

(Ciąg dalszy nastąpi).

Modlitwy te, na pięknym, welinowym papierze własną poety ręką pisane, a pisane czytelnie nadzwyczaj, niemal kaligraficznie, jak się tylko pisać zwykło dla ubóstwianej przez siebie kobiety, kiedy się jest wielkim poetą, modlitwy, od których nikt nie wymyślił nigdy piękniejszych, wznioślejszych, poetyczniejszych, oprawne w aksamit fioletowy, zamykane na srebrną, weneckiej roboty klamerkę (nie mówiąc już o narożnikach srebrnych, delikatnych, jak najcudowniejsza koronka, a tak efektownie białością swą odbijających od ciemnego tła oprawy) ile razy je odczytywała, zdawały się jej szeptać do ucha Chrystusowe słowa pociechy i rezygnacji... Nie dziw więc, jeżeli je wkrótce umiała wszystkie na pamięć, jak »Ojcze nasz«, jak »Zdrowaś Marya«. *C'était, comme dans le Cantique, un bouquet de myrte en son sein.*

Zresztą »cierpliwa i tęskna«, czekała nadejścia lata, w lecie bowiem miała wyjechać do wód i spotkać się z Krasińskim.

sać w Rzymie w r. 1835. Zawarte w niej modlitwy, wszystkie kompozycji Krasińskiego, cechuje niezwykła (a zwykła u autora *Irydiona*) podniosłość tonu i poetyczność wyrażenia. Jako proza poetyczna i religijna, są to w swoim rodzaju małe arcydzieła, które się proszą tylko, ażeby je przyodziać w drukowaną sukienkę i ażeby się na nich więcej pięknych, jak pani Bobrowa, kobiet modlić mogło. Modlitwy — pióra Zygmunta Krasińskiego, autora Psalmów i Glossy św. Teresy! To dożyć powiedzieć.

FERDYNAND HÖSICK.

SZKOŁA A ŻYCIE.

Jak organizm biologiczny przejść musi przez wszystkie fazy ewolucji, jakie poprzedziły powstanie jego gatunku na ziemi, tak samo organizm psychiczny przejść musi przez rozwojowe fazy ducha swych przodków, jeżeli ma się kształcić normalnie. Jest to naturalny kierunek umysłowego rozwoju. Kształcenie zatem umysłów indywidualnych tą samą prowadzone być winno drogą, po jakiej postępowało kształcenie się ludzkości. Dzisiejsze programy nauczania nie uwzględniają jednak tej zasady rozwojowej, dlatego też, zamiast ułatwiać ewolucję zdolności umysłowych dziecka, zamiast pomagać im wyrabianiu się i prostować ich zboczenia, gdy się uchylają od właściwego kierunku, spaczają naturalny przebieg umysłowego rozwoju.

Prawdy naukowe są rzeczami doświadczenia; umysł dziecka nie może przyswoić ich sobie inaczej, jak tylko tą drogą, która doprowadziła do ich odkrycia. Kazać mu się uczyć rozmaitych reguł i definicji,

jest to nierozumieć istoty nauki. Jak bez doświadczenia i obserwacji nie ma nauki, tak bez doświadczenia i obserwacji nie może być nauczania.

Dziecko, ucząc się chodzić, nie potrzebuje znać praw mechaniki mięśni. Sztuki chodzenia nabywa ono samo przez własne próby, czynione w tym kierunku i przez obserwowanie ludzi chodzących. Gdybyśmy chcieli uczyć je chodzenia najprzód teoretycznie, a dopiero potem pozwolić mu zastosować nabyte wiadomości w praktyce, zużylibyśmy na to tyle czasu, ile go potrzeba dla nauczania dziecka władać dobrze tym lub innym językiem.

Dziecko powinno być prowadzone i podtrzymywane do-

tąd, dopóki tego potrzebuje. Nauczywszy się chodzić, nie potrzebujemy się uczyć teorii chodzenia, gdyż teoria ta w akcie chodzenia na nic nam się nie przydaje. Nauczywszy się dobrze władać danym językiem, nie potrzebujemy się uczyć reguł gramatyki, stylu, ortografii, są one bowiem wówczas dla nas zbyt cenne.



ZWŁOKI Ś. P. TEOFILA LENARTOWICZA W TRUMNIE.

Umiejętność, zdobyta praktycznie, nie wymaga od nas wysiłków uwagi, gdy w zakresie jej pracujemy. Teoretycznymi wiadomościami kierujemy się wtedy tylko, gdy brak nam praktyki.

Szkoła powinna wytwarzać w umysłach swych uczniów przyzwyczajenia literackie i artystyczne. Znajomość reguł przyjdzie wtedy sama bez potrzeby ich formułowania; zrozumiałemi są one bowiem tylko dzięki praktyce, gdyż są abstrakcyjnym jej wyrazem. Bez praktyki żadna reguła, żadna zasada, żadne prawo nie może być zrozumiałem. Uczyć języka i literatury teoretycznie jest to samo, co wykładać zasady moralności na puszczy.

Zdolność abstrakcyjnego rozumowania nie zjawia się odrazu w człowieku i nie odrazu powstała w gatunku ludzkim, lecz rozwija się stopniowo. Tymczasem pedagogia dzisiejsza zapomina o tem i chce, ażeby dziecko zastanawiało się nad tem, czego się uczy, pierwszej, zanim się nauczy. Jest to wykręcanie naturalnego porządku rzeczy, co w rezultacie prowadzi do wczesnego rozwoju wyobraźni, ale nie do rozwoju zdolności obserwacyjnych.

Pedagogia dzisiejsza dąży wprowadzić do stania się umiejętnością coraz więcej racjonalną, lecz dążność ta ujawnia się jednostronnie. Pedagogowie dzisiejsi zwrócili się ku psychologii, aby tam czerpać podstawy dla swych teorii, psychologia jednak sama bez historii rozwoju wiedzy jest niewystarczającą. Posiłkując się historią rozwoju wiedzy, będzie ona mogła dopiero przyspasabić racjonalnie młode umysły do życia i wyrabiać w nich przyzwyczajenia myśli współczesnej fazie ewolucyjnej odpowiadające.

Pierwszą naszą myślą, gdy się znajdziemy w nowem dla nas miejscu, lub gdy się zbudzimy, jest poznać swe otoczenie. Dziecko, przychodzące do rozumu, w takim samem znajduje się położeniu. Pragnie ono poznać swe otoczenie najbliższe, najwięcej dające mu wrażeń, a następnie otoczenie swe coraz dalsze. W takim też porządku prowadzoną być winna nauka, w takim porządku zaznajamiać by należało dziecko z naturą żyjącą i martwą, z urządzeniami społecznymi, z wypadkami historycznymi i t. d. Nie mogąc podróżować z dzieckiem po ziemi, możemy podróżować z niem po niebie. Widok tych światów odległych pozwoli mu zrozumieć, iż tylko drogą obserwacji zdobywać można wiedzę dokładną; drogą obserwacji, nie zaś ślepego odgadywania, można jedynie poznawać. Podróżując z dzieckiem w przestrzeni rozwiniemy w niem gust do podróżowania w czasie za pomocą książek i wszelkiego rodzaju dokumentów, jakie nam przeszłość przekazała.

Ażeby nauczyć dziecko żyć, potrzeba je kształcić w teraźniejszości przede wszystkim, t. j. w rzeczywistości. Wycieczki w przeszłość za pośrednictwem starych autorów nie powinny stanowić podstawy wykształcenia, jak się to często praktykuje dzisiaj, ale uzupełnienie jego tylko. Żyjemy w teraźniejszości, poznanie jej jest zatem dla nas najważniejszem. Dziecko powinno żyć z żyjącymi, zanim pocznie żyć z umarłymi. Ciągnąć je ku przeszłości, jest to odciągać je od życia rzeczywistego, jest to zasłaniać świat żywy obrazami niedokładnymi przeszłości, jest to zapychać młody umysł pojęciami wyimaginowanymi przez starożytnych, odpowiadającymi niedzisiejszej, lecz ówczesnej wiedzy. Porzucać życie rzeczywiste w wieku najwrażliwszym dla życia fantazyjnego, jest to przygotowywać umysł do patrzenia na rzeczywistość oczami dziecka w wieku dojrzałości.

Żyć w teraźniejszości, jest to uswoić ją sobie, jest to poznać zasadnicze składniki cywilizacji, do której się należy. Życie poznaje się nie przez teorię, lecz przez praktykę. Potrzeba poznać zasadnicze przejawy działalności ludzkiej, ażeby mózdz żyć życiem jaknajzupełniejszym i jaknajżyteczniejszym dla siebie i społeczeństwa. Szkoła dostarczać powinna społeczeństwu ludzi czynu przede wszystkim, twórców, nie zaś jedynie wykonawców.

Język dziecięcy kształtuje się w taki sam sposób, jak kształtowały się języki ludów pierwotnych. Jest on najpierw konkretnym, konkretne wyobrażenia wyrażającym, wolnym od wszelkich abstrakcyj. Takim językiem przemawiać powinien nauczyciel do dziecka, skoro chce być zrozumianym. Nauczyciel przystosowywać powinien swój język do stopnia rozwoju swych słuchaczy, powinien się zniżać w swych wykładach do umysłowego ich poziomu, powinien im mówić o tem tylko, co bywa dostępnem ich obserwacji. Skoro wykład nauczyciela niezrozumiałym bywa dla słuchaczy, świadczy to, iż nieumiejętnie jest prowadzony, albo że jest przedwczesny. To samo stosuje się do podręczników szkolnych, które dla uczącego się powinny być narzędziem jedynie, środkiem do pracy.

Dziecko jest człowiekiem nierozwiniętym jeszcze. Ażeby uczynić zeń człowieka normalnego, potrzeba budzić zdolności w niem istniejące w takim stopniu, ażeby życie jego o tyle było intensywnem i zupełnem, o ile niem będzie później życie człowieka. Mało jest jednak ludzi na świecie, którzy wiedzą życie intensywne i zupełne. Większość ludzi unosi z sobą do grobu zapasy energii czynnej, która pozostała nieużyta dla tego tylko, iż brakło prób i ćwiczeń w kierunku dla wyładowania się jej właściwym.

Wielu ludzi ginie marnie dla społeczeństwa z tej jedynie przyczyny, iż nie są wprawni do wykonywania swych pomysłów i swych zamiarów jaknajlepszych. Szkoła zaradzić powinna temu. W jaki sposób mówca mógłby się oddać swemu natchnieniu, gdyby nie był pewny, iż może dokładnie wyrazić myśl swoją. Brak tej pewności napełniłby go przestachem, sparaliżowałby jego dobre chęci, jak się to dzieje ze wszystkimi nieprzyzwyczajonymi do przemawiania publicznie. To samo możemy powiedzieć o pisarzach i artystach, którzy się przyzwyczaili pokonywać trudności techniczne swej sztuki.

Ażeby dziecko mogło się nauczyć mówić poprawnie, potrzeba, ażeby słyszało poprawnie mówiących wokoło siebie. Sztukę wymowy nabywa się przez ćwiczenie, przez wprawę, przez praktykę. Szkoła zatem przyzwyczajając powinna dziecko do panowania nad swem słowem o tyle, ażeby równie śmiało, żywo i wyraźnie, z równą intonacją i gestykulacją mogło przemawiać do tłumu, jak to czyni wobec swego towarzysza. Nie chodzi tu o kształcenie przyszłych mówców, ale o upoddanie mowy rozwojowi intelektualnemu i artystycznemu dziecka drogą użytkowania tych zdolności naturalnej wymowy, które są nieodłączne od dzieciństwa jednostki, jak i od dzieciństwa gatunku. W taki sam sposób prowadzoną być winna nauka języka pisanego.

Literatura była twórczą pierwszej, zanim się zjawiała w formie krytycznej. Ten sam porządek zachowany być powinien w szkołach; tymczasem dzieje się inaczej. Dzisiejsza nauka literatury opiera się na analizowaniu i krytykowaniu dzieł literackich; nic więc dziwnego, że nauczanie literackie tak mało przynosi

korzyści większości uczniów. Dziecko jest artystą, poetą, ale nie jest gramatykiem. Posiada ono nadzwyczajną intensywność życia, której nie jest w stanie zużyć; ożywia swą ruchliwością wszystko, co je otacza. Nosi w sobie cały świat natchnień poetyckich: radość lat swych młodych, ogromną czułość, miłość życia pełnego nadziei, wiarę w przyszłość, bogatą wyobraźnię, entuzjazm i zapal uczuć je ożywiających. Nie chodzi jednak o wytwarzanie poetów, pisarzy, artystów, lecz o to, ażeby literatura i sztuki piękne to samo w kształ-

ceniu młodzieży zajęły miejsce, jakie zajmują w dziejach ludzkości. Dziecko powinno je poznawać, powinno, o ile może, uczyć się języka artystycznego we wszystkich jego formach.

Gdyby nauczanie szkolne było racjonalniejszym, gdyby było więcej praktycznym, czynnym, a mniej teoretycznym, spekulacyjnym, więcej byłoby na świecie ludzi dzielnych, pożytecznych, mniej zaś natomiast w bezowocnej kontemplacji wyimaginowanego świata żyjących.

Dr. ANTONI ŻŁOTNICKI.

»SEN« CZESŁAWA JANKOWSKIEGO.

Salon Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Sukiennicach wystawił osiem kartonów Czesława Jankowskiego. Noszą one tytuł ogólny »Sen«. Cykl ten zainteresował żywo naszych lubowników sztuki, artysta bowiem, który go stworzył — znany już szerokim kołom publiczności polskiej przez prace swe dawniej wystawiane na nieustających ekspozycjach krajowych, tudzież z ilustracyj, pomieszczanych w *Świecie*, *Tygodniku Ilustrowanym* i *Kłosach* — udał się przed paru laty do Paryża i tam bez protekcji i poparcia osób wpływowych lub możnych zdobył sam, własnymi siłami, wstępnym bojem — nietylko uznanie, ale i popyt na utwory swego ołówka i pędzla. *Illustration* zaliczyła go do grona stałych współpracowników, a inne czasopisma paryskie i londyńskie współzawodniczyły i współzawodniczą z sobą o pozyskanie jego rysunków. Nadto Amerykanie, robiący wszystko *en grand*, związali go moralnie i materyalnie z monumentalnym przedsiębiorstwem wydawniczym, z którego nasz młody i utalentowany malarz czerpie znaczne zyski, nie wyłączając postępowego wzmagania się rozgłosu i sławy, otaczającej już jego nazwisko.

Zapoznajmy się z treścią ośmiu kartonów z kolei.

I. *Marzenie sennie*. Młoda matka, znużona długiem czuwaniem, usnęła przy kołysce chorego dziecka. I oto śni, że anioł biały pochylił się nad kolebką, aby wziąć z niej maleństwo i unieść w nadziemskie sfery. II. *Zabrał dziecię*. Widzi zrozpaczoną, że duch wlatuje w górę z dzieciątkiem, wyciągającym rączki do rodzicielki, jakby chciało z nią się pożegnać. Uczucie żalu, boleści, smutku, ale zarazem i pewnego poddania się woli Bożej, maluje się na jej obliczu. III. *W chmurach u Bozi*. Senna wyobraźnia odtwarza w jej umyśle nowy obraz. Anioł biały poniosł niemowlę przed tron Matki Boskiej, która na znak przyjęcia w poczet aniołków, składa pocałunek na czole dzieciątka. IV. *Gdzież ty?*... Więc stracone! Takie mu wyrokowi poddać się nie może. Rozpacz pędzi matkę na bezdroża, w dziką okolicę. Wspina się nieszczęśliwa na wyniosłą, prostopadłą skałę, coraz wyżej i wyżej. U stóp jej przepaść, nad nią przestwór nieba gwiazdami zasiany... Przy tem wznoszeniu się strasznie, traci siły; gałąź uchwycona lewą ręką łamie się... Usta jej szepczą: »Gdzież ty?« Na niebie aniołkowie, posłannicy Boga, zdają się jej odpowiadać: »W niebie«. Wtedy w głowie matki powstaje

zamęt okropny. Za chwilę legnie na dnie przepaści. V. *U wrót nieba*. Męka, rozpacz, trud i cierpienie uleciały, rozwiały się... Słyszy pienia cudne, głosy ciche i harmonijne. Dłonie delikatne ujęły ją pod ramiona i niosą... Gdzie? Do nieba. VI. *To on!* Anioł wskazuje jej drogę... ona bieży, oczy jej szukają straty. Nagle wpośród roślinności nieznanej spostrzega grupę aniołków. Sercem raczej — nie wzrokiem — odgaduje obecność dziecięcia. Woła: »To on«, a głos jej wprawia w niepokój maleńkich stróżów niemowlęcia. Poruszają się żwawo, skupiają, zacieśniają kółko, opasujące towarzysza. Jeden nawet zasłania go przed oczami matki. VII. *Porwanie*. Ale próżne ich usiłowania. Matka chwytą maleństwo, tuli do łona... i ucieka. Aniołki — jak stado gołębi, wirujące w powietrzu — pragną go jej odebrać. O! nie odda go już... nie odda. VIII. *Ach! to tylko sen*. I oto obudziła się. Dzieciątko — zdrowsze widocznie — przyciska się do jej piersi. Ona okrywa je pocałunkami... Ach! jaka szczęśliwa, wdzięczna Najwyższemu, który skarb jej powrócił.

Nawet z tak suchego opisu czytelnik łatwo odgadnie, jak treść obrazów jest przejmującą niezwykle swym pomysłem, pełną — dramatyczności, głębokiego uczucia i poezji. W poetyczności koncepcji właśnie leży główne znaczenie tych ośmiu obrazów, traktowanych w rysunku z artystyczną prostotą i szczerością szlachetną, a zarazem z doskonałym odczuciem psychologicznej tragedii snu. Dwa skrajne kartony — pierwszy, rozpoczynający »rysowaną nowellę« i ósmy, kończący ją udatnie — posiadają realną ścisłość prawdy i technikę niemal aquafortową, wytwarzającą jakby myślową ramę całości. Wszystkie środkowe rozplywają się w mgłach marzenia, w pewnej błogiej, jasnej szarości, przerywanej na chwilę twardszym tonem wspinania się nieszczęśliwej matki na skały, a który tak wiernie męczarnię snu wyobraża. Wdzieranie się na wyżyny, kończące się niemal zawsze upadkiem na dno przepaści, jest — szczególnie w pierwszej chwili usnięcia — objawem charakterystycznym, prawie nieodzownym, który artysta przedziwnie tu wyzyskał. Całość bardzo piękna, przemawia nietylko do oczu, ale i do duszy; przeczy ona twierdzeniu, że sztuka plastyczna nie może wyrażać tematów literackich, że malarstwo ograniczyć się musi do skromnej roli sumiennego kopisty natury.

BOGUSŁAW ROZWADOWSKI.



DWÓCH PREZYDENTÓW MIASTA KRAKOWA.

Podając portrety byłego i obecnego prezydenta stołecznego miasta Krakowa, dorzucamy do tych wizerunków wiązaną suchych dat z życia jednego i drugiego, które przysłemu historykowi naszego grodu przydać się mogą, jako materiał autentyczny.

Feliks Szlachtowski, syn Szczepana, byłego radcy lwowskiego sądu szlacheckiego i Magdaleny z Białostockich, urodził się we Lwowie dnia 20 listopada 1820 roku. Tamże pobierał nauki w szkołach średnich i w 1842 ukończył wydział prawny na miejscowym uniwersytecie, ze stopniem doktora. Tegoż samego roku rozpoczął praktykę w lwowskim sądzie karnym. W r. 1845 zamianowany został »auskultantem« lwowskiego sądu szlacheckiego. W roku 1848 powołano go na członka galicyjskiej komisji, wysłanej przez ministra sprawiedliwości do krajów Nadreńskich i Belgii, celem zaznajomienia się z tamtejszym sądownictwem. Po powrocie z podróży złożył on sprawozdanie ze swoich badań, za które otrzymał od ministra sprawiedliwości wyrazy uznania — zaś prezydium lwowskiego sądu apelacyjnego zamianowało go członkiem komisji do przedstawienia organizacji sądów we Lwowie. W r. 1853 został protokółistą rady bukowińskiego sądu szlacheckiego; w r. 1855 radcą sądu obwodowego w Złoczowie; w r. 1856 adjunktem lwowskiej prokuratury skarbu; w r. 1860 zastępcą skarbu przy dyrekcji funduszu indemnizacyjnego. W r. 1861 otrzymał nominację na adwokata w Krakowie, gdzie był dwukrotnie prezesem Izby adwokackiej. W r. 1862 powołano go na członka komisji do rządowych prawniczych egzaminów. W r. 1862 został prywatnym docentem uniwersytetu Jagiellońskiego, a w r. 1867 w uznaniu zasług w zawodzie nauczycielskim otrzymał tytuł profesora wszechnicy. W r. 1864 wybrano go członkiem krakowskiego Tow. Naukowego. Kilka lat był przewodniczącym w ustanowionym przez Wydział krajowy Komitecie administracyjnym szpitala św. Łazarza, oraz członkiem komitetu artystycznego teatru w Krakowie.

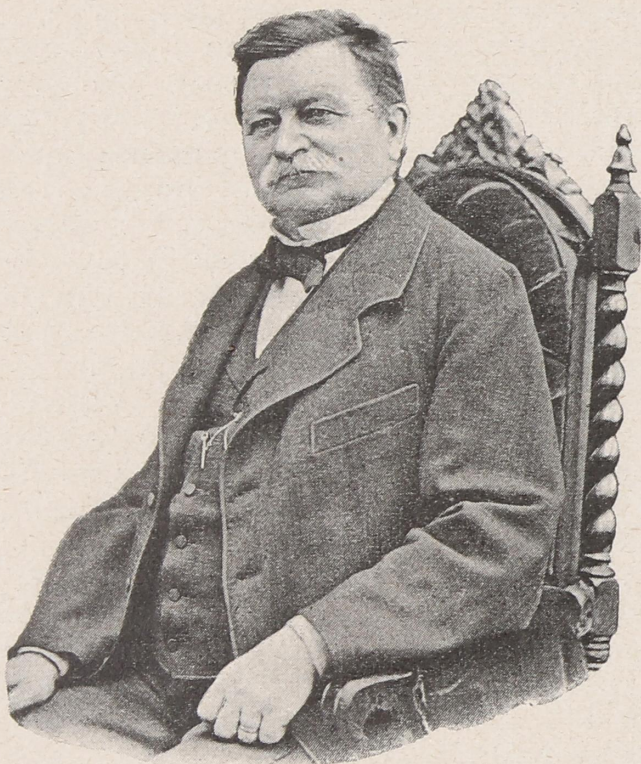
W r. 1866 wybrany radcą miejskim, zasiadał w tejże radzie lat dwadzieścia sześć z rzędu. W czasie prezydentury ś. p. Józefa Dietla zajmował lat kilka stanowisko wice-prezydenta. W r. 1884 obrano go prezydentem miasta Krakowa, przyczem został przewodniczącym Wielkiego Wydziału krakowskiej Kasy Oszczędności. W r. 1873 otrzymał krzyż kawalerski orderu Franciszka Józefa, a w r. 1893 w uznaniu zasług położonych przy zwalczaniu srożącej się w 1892 r. epidemii cholerycznej, wyniesiony został do austriackiego stanu rycerskiego. Lat kilka był członkiem komitetu Tow. rolniczego w Krakowie; od r. 1873 zastępcą przewodniczącego komitetu Tow. opieki szpitalnej dla dzieci; w tymże roku Tow. wzajemnej pomocy uczniów uniwersytetu Jagiellońskiego wręczyło mu dyplom

członka honorowego, w r. 1888 otrzymał także dyplom od Towarzystwa strzeleckiego, Towarzystwa wzajemnej pomocy rękodzielników i przemysłowców krakowskich, oraz od Towarzystwa młodzieży handlowej; w r. 1893 przyznane mu zostało członkostwo honorowe przez Tow. polskiej młodzieży katolickiej, Towarzystwo gimnastyczne »Sokół« w Krakowie i stowarzyszenie »Weteranów wojskowych«. Nadto Tow. szermierzy krakowskich zamianowało go swym »protektorem«. Od r. 1876 do 1892 był członkiem przez Akademię umiejętności ustanowionego komitetu administracyjnego zakładu zdrojowego w Szczawnicy. Lat kilka z rzędu przewodniczył jako prezes krakowskiemu Towarzystwu muzycznemu, a w r. 1890 wymienione stowarzyszenie ogłosiło go swym »protektorem«. W r. 1891 zamianowany został członkiem honorowym wiedeńskiego

Tow. ratunkowego i korespondentem c. k. Centralnej komisji zabytków sztuki i pomników historycznych. W r. 1892 otrzymał tytuł »protektora« zakładu św. Kazimierza w Paryżu.

Obecnie obrany (po Feliksie Szlachtowskim) prezydent naszego starego grodu, jest synem, Krakowianina duszą i sercem, Daniela Edwarda Friedleina — założyciela jednej z najpowszechniej znanych księgarni w Polsce, właściciela drukarni, bogatej biblioteki, oraz cennego zbioru rycin i map polskich, które niestety, w pożarze z 1850 r. spłonęły — oraz Fryderyki z Cochetów Friedleinowej.

Józef Edward Friedlein urodził się w Krakowie w r. 1831. Ukończył gimnazjum św. Anny. Złożył egzamin dojrzałości w r. 1848, poczem uczęszczał na tak zwaną filozofię i ukończył ją w 1850 r. Następnie zapisał się na nowo zreorganizowany wydział filozoficzny wszechnicy Jagiellońskiej i słuchał wykładów na oddziale matematyczno-przyrodniczym od r. 1850 do 1853. Oddawał się z zapałem studiom geologicznym, a profesorowie wróżyli mu piękną przyszłość w karierze naukowej. Powołany jednak przez ojca do objęcia zarządu nad księgarnią i prowadzenia w niej ksiąg handlowych, spełnił posłusznie życzenie rodzica, po śmierci którego, w 1855, musiał już z konieczności — jako spadkobierca — zająć się gorliwie jej sprawami, aby rozgłośnie znaną i zasłużoną firmę na jej dawnym moralnym i materialnym stanowisku utrzymać. Kochający gorąco przeszłość ojczystą, zebrał jedną z najpiękniejszych — ze znanych u nas — kolekcji starych rycin, odnoszących się do dziejów polskich. Zbiór ten posiada wartość muzealną i prawdopodobnie, prędzej czy później, pomnoży majątek krakowskiego Muzeum Narodowego. W r. 1866 J. E. Friedlein pochwycony został wirem życia publicznego. Wybrany do Rady miasta, zasiadał w niej aż do 1878, w którym to roku złożył mandat. Powtórnie wszedł do jej grona w roku 1881. Zaszczycony obecnie — przez



FELIKS SZLACHTOWSKI.

wybór z dnia 24 maja b. r. — najwyższem przewodniczem stanowiskiem, objął je niechętnie, ulegając woli współtowarzyszy - współobywateli. Od wstąpienia do rady należał ciągle do sekcji ekonomicznej, a przewodniczył jej od r. 1874. Wybrany był pierwszym wiceprezydentem po raz pierwszy w 1884; po raz drugi w 1887; po raz trzeci w 1890 roku. Należał do następujących komisji: uporządkowania miasta, restauracji Sukiennic, plantacyjnej, pożarnej, akcyzowej, gazowej, pożyczkowej, przemysłowej, wodociągowej, sanitarnej i teatralnej. Prezyduje w komitecie budowy teatru. Urządzenie straży pożarnej miejskiej jest

jego dziełem. Charakterowi jego i pracy, tak przyjaciele, jak przeciwnicy jednomyślny hołd oddają.

Nie wypisywaliśmy tu hymnów pochwalnych, bo nie licują one ani z charakterem naszego pisma, ani ze skromnością byłego i obecnego prezydenta. Jeden — kilka tygodni temu opuścił zaszczytne stanowisko; drugi — zaledwie je zajął. Czas, ferujący wyrok uznania, jeszcze dla nich nie przyszedł, ale cyfry i daty posiadają także swoją wymowę. Nie wątpimy, że przyszły dziejopis Krakowa działalność pierwszego i drugiego należycie oceni i właściwie podniesie, to jednak nie należy już do... kronikarza dwutygodnika ilustrowanego.

ADAM RADOST.

K R O N I K A.

* Jako malownicze dopełnienie do studium W. Grota o lirniku mazowieckim — rozpoczynającego się w dzisiejszym zeszycie *Świata* — dajemy szereg ilustracji pędzla M. A. Sozańskiego, odnoszących się do kilku ostatnich lat życia, oraz do chwili zgonu ś. p. Teofila Lenartowicza. Szereg ten poprzedza winieta wyobrażająca Florencję (widok ogólny); następnie idzie portret poety; potem dom przy *via Montebello*, w którym mieszkał; dalej widzimy autora *«Lirenki»* rozmawiającego z Mieczysławem Zawiejskim, artystą-rzeźbiarzem; później spostrzegamy księdza, zawezwanego nagle i spieszącego z olejami świętymi i ostatnią pociechą do konającego; w dalszym ciągu przedstawia się nam Lenartowicz słuchający opowiadań o kraju M. A. Sozańskiego; wreszcie cykl wymieniony zamykają: kościół św. Łucyi we Florencyi, w którym czasowie zwłoki twórcy *«Bitwy Raclawickiej»* były złożone, tudzież ciało jego spoczywające w trumnie *«snem nieprzespanym»*. W następnych zeszytach *Świata*, przy temże studium, znajdą czytelnicy nasi dalsze rysunki (równie M. A. Sozańskiego, jak i innych artystów), ilustrujące żałobną uroczystość przeniesienia doczesnych szczątków zmarłego poety do Krakowa i pochowania ich w *«krypcie zasłużonych»* na Skałce.

* *Nazione* florencka w słowach następujących opisuje wyprowadzenie zwłok ś. p. Teofila Lenartowicza: *«We środę 7 czerwca o godzinie 5 po południu ruszył pochód z kościoła św. Łucyi sul Prato. Obecni byli między innymi: zastępca syndyka Giachetti, zastępca prefekta Barbieri, inspektor Ranalli, przedstawiciel ministerstwa oświaty; przedstawiciel uniwersytetu Fiaschi; profesor Lasinio, reprezentant akademii; Franchetti, przedstawiciel szkoły nauk społecznych; Aimo, dyrektor żeńskiej szkoły normalnej. Wśród niezliczonych tłumów publiczności obecny był pułkownik Maghelli, książę Bonelli Crescenzi, rzeźbiarz Zawiejski, hrabina Dzieduszycka, Anetta Boneschi poetka włoska, która natchnionym wierszem uczciła zgon Lenartowicza, i wiele innych wybitnych osobistości. Na trumnie złożono kilka wspnianych wieńców, między innymi od rodziny Włodzimierzów Dzieduszyckich, Cappellich i Levantini-Pieronich. Nad zwłokami przemówił profesor Levantini Pieroni, osobisty przyjaciel Lenartowicza. Ważniejsze ustępy tej pięknej mowy brzmiały: Żegnaj sławny, wielki poeto, który nadewszystko ukochałeś świętą ideę ojczyzny twojej i przez nią cierpiełeś prześladowanie i banicję. Żegnaj serdeczny uwielbiony poeto; w świętym dniu boleści, w którym Włochy oplakują zgon swego Cavoura, Florencyja, która cie przez lat tyle gościła, którą tak gorąco ukochałeś, ma się rozłączyć z Tobą... Wstąp do świątyni, przeznaczona dla tych, którym po wieki sprawiedliwa chwała należy. My, którzyśmy na sobie doświadczyli,*

co znaczy niewola, życzymy ojczyźnie twojej, aby nadszedł dzień, w którymby Europa na



J. E. FRIEDLEIN.

*drodze postępu cywilizacyjnego, dla powszechnego ludzkości dobra zrobiła tyle dla Was, ile przypadło w udziale Szwajcaryi... Żegnaj, drogi Teofilu, żegnaj... — Zwracając się następnie do przybyłego po odbiór ukochanych zwłok posła D-ra Adama Asnyka, uprosił go mówca, aby całej Polsce oznajmił, że: Florencyja w imieniu Włoch sercem pozdrawia ją w świętej dziedzinie sztuki i politycznej sprawiedliwości. Po tych słowach wzniósł się z tysięcznych piersi entuzjastyczny okrzyk: *«Viva la Polonia!»* Asnyk, odwdzięczając się, zawołał z szczerym zapalem: *«Viva l'Italia!»* — Tego samego dnia wieczorem ruszył z Florencyi pociąg, wiozący drogie Polsce zwłoki do ziemi rodzinnej, do której z tak gorącą tęsknotą zwracał się zawsze nieśmiertelny lirnik mazowiecki.*

* Uroczysty pogrzeb zwłok ś. p. Teofila Lenartowicza, przywiezionych z Florencyi, odbył się w sposób następujący: W niedzielę d. 11 czerwca, o godzinie 8 wieczorem, na plac kolejowy, przylegający do ulicy Pawiej, przybył komitet, zajmujący się pogrzebem — z Adamem Asnykiem na czele — i zajął miejsce w pobliżu wagonu, w którym znajdowało się zabalsamowane ciało poety, zamknięte w dwóch trumnach: ołowianej i dębowej. Następnie z panem prezydentem J. E. Friedleinem zgro-

madziła się tu niemal cała rada miasta Krakowa, oraz reprezentacja lwowskiej rady miejskiej z prezydentem Mochackim, delegacja Tow. Naukowego w Poznaniu, składająca się z hr. Engeströma i posła Kozłowskiego, członkowie rodziny poety, grono osób ze świata literackiego i artystycznego, wreszcie duchowieństwo świeckie i zakonne z ks. infułatem Krzemińskim, który poprowadził kondukt żałobny. Trumnę, po wyjęciu z wagonu, ustawiono na noszach i przykryto pasową oponą aksamitną, na której spoczęło 38 wieńców, towarzyszących zwłokom z Florencyi, a następnie z Wiednia, gdzie rodacy z czcią należną powitali ją także, w sobotę, na dworcu kolei Północnej, składając na niej kwietne równianki. Zanim kondukt ruszył, zabrał głos poeta i poseł, Adam Asnyk, i zwracając się do prezydenta miasta Friedleina, w krótkich słowach prosił go — imieniem komitetu, który podjął się sprowadzenia zwłok autora *«Bitwy Raclawickiej»*, — aby je przyjął i przechował w grobie zasłużonych Polsce mężów na Skałce. Na to odpowiedział p. J. E. Friedlein bardzo pięknie, a przemówienie swoje zamknął wyrazami: *«Gdyby nie smutek, przejmujący serce na widok zwłok wielbionego poety i obywatela, to mógłbym być dumnym, że mnie przypadło przyjąć te szczątki u progu miasta, niegdyś siedziby królów, dziś wiernej strażnicy ich drogich popiołów. Znajdą one schronienie i spokój wśród druhów z zawodu; znajdą bezpośrednią opiekę pod okiem zacnych i pobożnych kapłanów, czuwających nad grobami zasłużonych. Tam podąży za nimi tęskne westchnienie i wdzięczna pamięć rodaków». Następnie chór Towarzystwa Muzycznego odśpiewał hymn Mendelsohna. Pochód ruszył ulicą Pawią, Basztową i Floryańską, wśród odgłosu dzwonów ku świątyni Panny Maryi. Tu złożono trumnę w prezbiterium, na ozdobnym katafalku, a raczej na marach, posiadających kształt renesansowego lekkiego sarkofagu, w którym na tle jedwabnej czerwonej materyi cały rysunek architektoniczny składowych części zakreslił artysta kwiatami, zielenią i zbożami, tudzież czterema malowanymi medalionami z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, oraz herbami Polski i Litwy. Prześliczne to dzieło zaprojektował i sam udekorował Tadeusz Popiel, malarz wielce utalentowany i przez ogół szczerze ceniony. Konstrukcja techniczna tak mar jak i noszów — według szkicu wymienionego artysty — jest dziełem fabryki Władysława Grabowskiego, znanego budowniczego. Kwiatów dostarczył zakład p. Freegego, ogrodnika. — Nazajutrz, w poniedziałek d. 12 czerwca, już około godziny ósmej kościół Panny Maryi zapełniać się zaczął przedstawicielami: Wydziału krajowego, reprezentowanego przez prezesa rady powiatowej krakowskiej; Akademii Umiejętności kra-*

kowskiej (prezes Stanisław hr. Tarnowski i prof. Dr. Janczewski); Sejmu krajowego (posłowie: Goldman, Merunowicz, Micewski, Stefan hr. Zamoyski, Sękowski); uniwersytetu lwowskiego (pro-rektor Dr. Balasits, X. rektor Paliwoda, X. dziekan Klos, prof. Dr. Dunikowski); uniwersytetu krakowskiego (rektor Dr. Zoll, prof. Dr. Cybulski, prof. Dr. Rydygier, prof. Dr. Leo); członkowie rad powiatowych; reprezentacja Tow. Naukowego poznańskiego (hr. Engeström i pos. Kozłowski); deputacja miasta Lwowa z p. prezydentem Mochnackim na czele, cała w bogatych i pięknych polskich miejscach; rada miasta Krakowa z prezydentem J. E. Friedleinem na czele; profesorowie szkoły rolniczej w Dublanach (między którymi dostrzegliśmy prof. Dra Jana Pawlikowskiego); młodzież rozmaitych zakładów naukowych, tak miejscowych, jak i z innych miast galicyjskich; reprezentacje grodów prowincjonalnych; delegacje najrozmaitszych stowarzyszeń rękodzielniczych i przemysłowych; przedstawiciele dziennikarstwa, literatury i sztuki; »Sokoły« z całego kraju; włościanie, nawet z odleglejszych okolic; wreszcie publiczność, złożona przeważnie z pań nietylko miejscowych, ale i przybyłych na uroczystość pogrzebową z bliższych i dalszych stron kraju. O godzinie dziewiątej, gdy już obszerny kościół zapelniał się niemal szczelnie, przed wielkim ołtarzem — nad którym jaśnieje dzieło Wita Stwosza — J. E. kardynał A. Dunajewski, w asystencji licznej kleru, odprawił mszę świętą, w czasie której członkowie Tow. Muzycznego pod kierownictwem swego utalentowanego i sumiennego dyrektora odśpiewali *Requiem* Mozarta. Solowe partie wykonały panie: Gullowa i Binderowa, tudzież panowie: Malawski i Nowak. Wspaniałe pod względem artystycznym wykonanie nieśmiertelnego utworu, spotęgowało nastrój uroczystej chwili i przyczyniło się niemało do uświetnienia podniosłego nabożeństwa, w ciągu którego ksiądz Czesław Bogdalski, Bernardyn, znany pisarz ludowy, wygłosił mowę, której nawet w części powtórzyć tu nie możemy z powodu zbyt szczupłego miejsca, jakie nam na nasze sprawozdanie pozostaje. — Około południa, po skończonym nabożeństwie, kierujący pochodem p. Zagórny-Marynowski dał znak, iż orszak poruszyć się może. Czoło szeregów, utworzonych z »Sokołów«, młodzieży szkolnej, deputacji z wieńcami znajdowało się już w ulicy Grodzkiej. Uczestnicy pochodu okalali cały nasz olbrzymi rynek krakowski, przepełniony publicznością. Patrząc z balkonu Sukiennic, wydawało się, że mamy u stóp swoich morze głów ludzkich, falujących w lewo i w prawo, pod blaskami słonecznymi, płynącymi z czystego, pogodnego nieba. Domy przybrane były w chorągwie o barwach narodowych, a wiele okien i krużganków owijały wieńce i festony z zieleni. W chwili, gdy pochód ruszył, plac główny naszego miasta, zwany często »sercem Polski«, mógł liczyć przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy głów na bruku, chodnikach, w oknach i na balkonach. W miarę, jak orszak, poprzedzony muzyką »Harmonii«, a zakończony plutonem straży ogniowej ochotniczej, olbrzymim swym szeregiem zapuszczał się w ulice wiodące do Skalki, tłumy — poważne, ciche, pełne godności — spotykały go lub towarzyszyły mu wszędzie. Z okien sypano kwieciami na trumnę, a ta manifestacja szczerą, wprost z serc płynącą, rozrzewniała nawet najchłodniejszych. Około godziny drugiej, trumna wciąż spoczywająca na świetnych marach, niesionych przez dzielnych »Sokołów«, zatrzymała się na przeciw drzwi, wiodących do »krypty zasłużonych«. Tu przemówił pierwszy ks. Andrzej Federowicz, przeor Ojców Paulinów, gospodarz tej prześlicznej oazy, zwanej Skalką. Po nim zabrał głos Franciszek Wójcik, włościanin z Wyciąż pod Krakowem; po którym

przemówił podniosło i wspaniale Adam Asnyk. Znakomity poeta w te słowa zakończył swoją mowę: »Spoczywaj spokojnie na polskiej ziemi Mazowiecki Lirniku i kołysany szumem Wisły i śpiewem polskiego ludu, czekając aż dorośnie i dojrzeje posiew, rzucony Twoją ręką, a piękno, prawda i dobro zwyciężą na ziemi. Cześć Twojej nieśmiertelnej pamięci«. Po tem pożegnaniu, z dźwiękami którego — płynącymi w powietrze — złączył się niemal natychmiast śpiew chóralny Tow. Muzycznego, trumna wniesiona została do krypty, pod sarkofagiem, (dziełem zaprojektowanym przez architekta K. Knausa, a wykonanem przez pp. Szopińskiego i Tombińskiego), którego wierne rysunkowe odtworzenie podamy w jednym z następnych zeszytów *Świata*, wraz z licznymi ilustracjami, odnoszącymi się do kilku wybitniejszych lub charakterystyczniejszych chwil żałobnej uroczystości, która się odbyła — jak to już przełotnie zaznaczyliśmy — z niesłychaną powagą i godnością, bez fałszywego dźwięku, bez dysonansu.

* Ustęp z poematu Teofila Lenartowicza, który pomieściliśmy na czele dzisiejszego zeszytu *Świata*, nie był dotąd nigdzie drukowany. Całość rękopisu jest własnością rodziny. Nie wątpimy, że znajdą się wydawcy, którzy o tę pracę, równie jak o inne pozostałe po zgasłym poecie ubiegać się będą.

* W miniony piątek w »Związku literackim« wobec licznie zgromadzonych członków wygłosił prezes stowarzyszenia prof. Dr. Józef Treliak rzecz arcypiękną »O poezji Lenartowicza«. Po doskonałym, pełnym głębszych myśli odczycie, zabierali głos w dyskusji: prelegent, Dr. Feliks Koneczny, Franciszek Rawita (Gawroński) i Zygmunt Sarnecki.

* W d. 6 czerwca otwartą została w krakowskim Muzeum Narodowym wystawa pamiątek po ś. p. Teofilu Lenartowiczu, oraz prac jego rzeźbiarskich i autografów. Maską twarzy (zdjęta przez M. Zawiejskiego), tudzież odlew gipsowy ręki poety, dwa jego wizerunki (jeden z lat młodocianych przez Kwiatkowskiego), bardzo interesująca duża kompozycja z wosku (Stanisław Bechi, żegnający się z rodziną przed wyruszeniem na powstanie z 1863 r.), dwie kompozycje płaskorzeźbowe w bronzie, kilka prac w glinie i gipsie, cały cykl fotografii wyobrażających niemal wszystkie utwory plastyczne Lenartowicza, jego narzędzia rzeźbiarskie i t. d. i t. d., ułożone ze smakiem i wielką starannością tworzą całość nader zajmującą, która najniezawodniej ścigać będzie do głównej sali Muzeum Narodowego liczną publiczność, przejętą czcią dla autora »Lirenki«.

* Nakładem księgarni S. Barańskiego w Krakowie wyszła: »Pamiętka uroczystości złożenia zwłok autora *Lirenki* na Skalce«. Oprócz portreciku ozdobionego kolorowymi kwiatami, zawiera autobiografię poety. Cena 30 c.

* Staraniem komitetu pogrzebowego wyszła książka p. t. »Na pamiątkę sprowadzenia zwłok Teofila Lenartowicza do ojczyzny«. Napisana, przez Michała Danielaka — przyozdobiona trzema ilustracjami. Polecamy ją gorąco czytelnikom naszym.

* Artysta malarz M. A. Sozański, autor pięknych ilustracji, pomieszczonych w dzisiejszym numerze *Świata*, przyjaciel ś. p. Teofila Lenartowicza, przybył do Krakowa, gdzie gościł dni kilka przed pogrzebem i po pogrzebie poety.

* Franciszek Gawroński (Rawita), znany powieściopisarz i krytyk, gościł w Krakowie dni kilka.

* Z Florencji na pogrzeb T. Lenartowicza przybył do Krakowa znany zaszczytnie artysta rzeźbiarz Mieczysław Zawiejski. Przywiózł z sobą maskę pośmiertną poety, którego był wiernym przyjacielem, oraz biust jego w bronzie, tudzież mnóstwo drobnych pamiątek, jak: rękopisy, rysunki, szkice rzeźbiarskie i t. p.

* Między efemerydami, które stworzyła i przyniosła na półki księgarskie atmosfera przeniesienia zwłok ś. p. Teofila Lenartowicza z Florencji do Krakowa, znajduje się ciepły wiersz, napisany przez H. S., zaczynający się od wyrazów: »Dokąd płynie tego tłum niezmierną falą?«, wydany p. t. »Pamiętka pogrzebu«, ozdobiony portretem poety, starannie odbity na półarkusiku ładnego papieru.

* We Lwowie wyszedł oddzielnie wiersz pod tytułem »Pogrzeb Lirnika« przez Ignacego Nowickiego, który w czasie uroczystości złożenia zwłok ś. p. T. Lenartowicza na Skalce, sprzedawany był w lokalu komitetu na korzyść Towarzystwa szkoły ludowej.

* Praca przy budowie podstawy pomnika A. Mickiewicza postępuje rażąco pod kierownictwem architektury Stryjeńskiego. Olbrzymie granity, stanowiące boki piedestału, już zostały spojone, a trzy wspaniałe grupy brązowe, tworzyć mające narożniki monumentu, wkrótce nierozdzielnie połączone będą z tym potężnym, a jednak smukłym sokłem, wywierającym na widzu bardzo dodatnie wrażenie.

* W pałacu królewskim na Wawelu, od pewnego czasu odbywa się oczyszczanie ścian i ozdób rzeźbiarskich, pokrytych grubą warstwą tynku, oraz starych farb różnych. Roboty te dokonywają się pod kierunkiem p. majora Czajkowskiego, komendanta koszar zamkowych, przez żołnierzy, pomiędzy którymi znajduje się spora liczba zdolnych kamieniarzy i sztukatorów. Zaproszeni do wydania swej opinii o tej pracy Dr. Stanisław Tomkowicz i architekt Odrzywolski, z największym uznaniem wyrazili się o niej, a p. major Czajkowski przyrzekł zastosować się w następstwie do ich wskazówek i rad, oświadczając, że mu chodzi przede wszystkim o dobro zabytków sztuki, zdobiących dawną rezydencję królów polskich, o uratowanie cennych pamiątek od zaguby, oraz o uwypatnienie ich artystycznej świetności. Komnaty oczyszczone — mają być w przyszłości zabezpieczone od możliwych uszkodzeń, a częściowo nawet od użycia wyłączane i zamknięte.

* Występy gościnne panny Ireny Trapszówny, artystki Teatru Rozmaitości w Warszawie, w dalszym ciągu ściągają wcale liczną publiczność do widowni teatru krakowskiego. — Pani Felicya Stachowiczowa (Grekowa), artystka Teatru hr. Skarbka we Lwowie, rozpoczyna w tych dniach szereg gościnnych występów na naszej scenie, — po których ujrzymy znowu p. Bolesława Leszczyńskiego, artystę dramatycznego Teatru Wielkiego i Teatru Rozmaitości w Warszawie, w szeregu jego najwybitniejszych kreacji. — O tem wszystkim, a nadto o czterech interesujących i wdzięcznych jednoaktowych sztukach Maryana Gwalewicza, przedstawionych w ubiegły wtorek, pisć będziemy obszerniej w sprawozdaniu, obejmującym szczegółową relację z tegorocznej działalności teatru krakowskiego.

* W Krakowie wychodzić zaczął w d. 4 czerwca dwutygodnik *Praca* poświęcony: sprawom społecznym, narodowym i politycznym, ze szczególnem uwzględnieniem potrzeb klas pracujących.

* Recenzent *Revue des deux mondes* Lafenestre bardzo pochlebnie wyraża się o portretach Kazimierza Pochwalskiego, wystawionych w paryskim salonie Pól Elizejskich.

* Wiedeńska *Presse* drukuje przekład nowelli Wincentego hr. Łosia, p. n. »Tajemnica pułku«.

* Władysław Bogusławski, znakomity krytyk, bawił w Krakowie, w przejeździe do Wiednia, dni parę.

* Henryk Sienkiewicz udał się do Zakopanego na parę tygodni. Powróci w końcu bieżącego miesiąca.

* Znana fortepianistka Natalia Janothówna otrzymała dyplom pierwszej klasy królewskiej

Akademii św. Cecylii w Rzymie, przy którym królowa włoska Małgorzata nadesłała artystce naszej do Zakopanego list własnoręczny i portret swój fotograficzny.

* O kurtynie, którą Henryk Siemiradzki maluje w Rzymie w swojej pracowni dla teatru krakowskiego, pisze Dr. Julian Ochowicz: »Wspaniała! Trzy plany pełne rozmaitości, kolory majowe, figur nie zawiele, a każda piękna i wyrazista. To pewna, że takiej kurtyny, jak krakowski, nie będzie miał żaden teatr w Europie«. Nadto mistrz pracuje przy trzech obrazach prześlicznych. Jeden nosi nazwę: »Przy studni«; drugi »Handlarz wędrowny«; trzeci »Zburzona willa«.

* Dla p. Ludwika Michałowskiego, który co niedziela gromadzi w swoim salonie najwybitniejszych przedstawicieli nauki, literatury i sztuki, dawali w dniu 5 czerwca uczestnicy tych zebrań niedzielnych skromną wieszczkę w salach hotelu »pod Różą«, na której dyrektor Wł. Łuszczkiewicz wznosił pierwszy toast na cześć zaproszonego, — toast, który w ustach reszty zgromadzonych znajomych i przyjaciół p. Michałowskiego (w rozmaitych formach krasomówczych) powtarzał się następnie kilkakrotnie.

* Michałowi Bałuckiemu z powodu odegrania na scenie Teatru Rozmaitości po raz pięćdziesiąty komedii jego »Flirt«, nadesłali telegraficznie powinszowania: prezes dyrekcji rządowych teatrów warszawskich, tudzież reżyser i artyści. Pierwszy telegram stylizowany był w języku francuskim, drugi w polskim.

* W Warszawie obchodzono uroczyste pięćdziesięcioletni jubileusz pracy naukowej Jerzego Aleksandrowicza, b. profesora botaniki na uniwersytecie warszawskim. Zaczemu jubilatowi uczniowie jego, współtowarzysze i wielbiciele złożyli w upominku piękne album z licznymi fotografiami. Doręczono mu je na bankiecie, na cześć jego wyprawionym.

* Arcyksiążę Ludwik-Wiktor w czasie swej jednodniowej bytności we Lwowie zwiedził wspólnie z arcyksięciem Leopoldem Salwatorem pracownię Jana Styki. Wyraził się on z wielkim uznaniem o portrecie arcyksięcia Leopolda Salvatora, jakoteż o innych utworach, nad którymi artysta pracuje obecnie.

* Redakcja *Gazety Lwowskiej* obchodziła uroczyste dziesięcioletnią rocznicę objęcia naczelnego kierownictwa tego dziennika przez Adama Krechowieckiego. Następnie »Kółko Mickiewiczowskie« we Lwowie podejmowało go wspólną biesiadą, pragnąc zamanifestować uznanie swoje dla powieściopisarza. Pierwszy toast wznosił prof. Dr. Roman Pilat, prezes wymienionego literackiego stowarzyszenia, wskazując cele i zadania, jakie ma powieść w życiu społecznym, oraz określając stanowisko, jakie Krechowiecki w beletrystycznym piśmiennictwie polskim zajmuje. Mowca zatrzymał się dłużej przy »Jestem« — najnowszej powieści autora »Veta« — i podniósł jej etyczne i artystyczne zalety. Serdeczny nastrój panował w zebraniu liczne i szczerze przyjazne dla owacyjnie podejmowanego sympatycznego redaktora i powieściopisarza.

* Kazimierz Pochwański maluje wielki portret cesarza Franciszka Józefa. Monarcha pozuje w dworskim Muzeum sztuki, gdzie obecnie urządzono pracownię dla naszego artysty.

* Tadeusz Ajdukiewicz, gości w Sofii, gdzie maluje obraz przedstawiający uroczysty wjazd pary książęcej do stolicy.

* Akademia Umiejętności w Wiedniu wybrała — między innymi — na członka korespondenta: Karola hr. Lanckorońskiego.

* Z dniem 1 czerwca wychodzić zaczął w Stryju dwutygodnik p. t. *Gazeta Stryjska*.

* W Chicago odbył się w drugiej połowie maja w pałacu sztuk pięknych kongres kobiet, na którym między innymi przemawiała i pani Helena Modrzejewska na temat: »Rozwój nie-

wia w Polsce«. W pięknych słowach nakreśliła znakomita artystka postać Polki, której serce obok skarbów uczucia, oraz umiłowania piękna i dobra, mieści przedewszystkiem nieprzebrane źródło miłości ojczyzny. Pisma amerykańskie bardzo pochlebnie wyrażają się o tem przemówieniu.

* W dziele »Monarchia austriacka w obrazach i słowie« ukazać się mają reprodukcje dwóch kompozycji Piotra Stachiewicza, należących do cyklu, który tak wielkiem powodzeniem cieszył się na wystawie w *Künstlerhausie* wiedeńskim.

* Rektorem uniwersytetu Jagiellońskiego na przyszły rok szkolny wybrany został powtórnie obecny rektor prof. Dr. Stanisław Madeyski.

* Mistrz Jan Matejko wyjechał w tych dniach z polecenia lekarzy do Karlsbadu.

* Prof. Dr. Fryderyk Zoll gościł dni parę w Paryżu w sprawie spadku po ś. p. Wiktorze Osławskim, który — jak wiadomo — swoje cenne artystyczne i pamiątkowe zbiory zapisał krakowskiemu Muzeum Narodowemu, a majątek pozostały na cele naukowe i dobroczynne. Egzekutorem testamentu — jak to już donosiliśmy — zamianował ś. p. Wiktor Osławski profesora D-ra Fryderyka Zolla.

* Księgarnia polska w Petersburgu, nosząca dotąd firmę Br. Rymowicz, z dniem 1 maja (star. stylu) przeszła na własność p. Kazimierza Grendyszyńskiego, posiadającego gruntowną znajomość zawodu księgarskiego i długoletnie doświadczenie.

* Znakomita powieść Elizy Orzeszkowej »Cham« ukazała się w przekładzie rosyjskim już w drugim wydaniu. Czasopismo rosyjskie *Posrednik* drukuje obecnie tłumaczenie powieści »Bene nati« tejże samej autorki — z kliszami, według świetnych rysunków Piotra Stachiewicza, które przyozdabiały polski oryginał. Przypominamy, że wydany przez pragskiego nakładcę Fr. Šimáčka na początku b. r. przekład czeski tegoż romansu posiadał wśród tekstu te same cenne ilustracje. Edytor wymieniony, przed paru tygodniami, puścił w obieg księgarski tłumaczenie »Mirtali« Elizy Orzeszkowej z rysunkami Miłosza Kotarbińskiego.

* Dnia 18 maja b. r. odbyło się posiedzenie Komisji historii sztuki w Akademii umiejętności pod przewodnictwem prof. D-ra Marijana Sokołowskiego. Następnie poświęcił przewodniczący gorące słowa wspomnienia świeżo zmarłemu członkowi Komisji ś. p. Prof. Dr. Lotarowi Dargunowi. Prof. Łuszczkiewicz złożył list D-ra J. Korzeniowskiego imieniem stacyi akademickiej naukowej w Paryżu, wyjaśniający, że kirys ozdobny w muzeum artyleri w Paryżu, na który zwrócił uwagę hr. B. Starzyński, jest włoskiego pochodzenia i wyrobu, a z Polską, zwłaszcza królem Zygmuntem I żadnego związku nie ma. Prof. Łuszczkiewicz podał następnie bliższą wiadomość o rękopisie przechowanym w klasztorze krakowskich OO. Franciszkanów, obejmującym sprawozdanie z wizyty klasztorów Franciszkańskich w Polsce, dokonanej w latach 1596—1598 przez Prowincyała i Komisarza generalnego Jana Donata Caputa Cupertino. Rękopis ten, opatrzonej przedmową, nosi na sobie cechy, jakoby był przeznaczony do publikacji. Prof. Łuszczkiewicz zwrócił bliższą uwagę na szczegółowy opis krakowskiego klasztoru i jego zabytków, zawarty w tym rękopisie. Prof. Łuszczkiewicz przedstawił następnie plan zabudowań klasztoru Franciszkańskiego w Krakowie, pochodzący z XVIII wieku. Prof. Sokołowski zakomunikował kilka nowych szczegółów do biografii węgierskiego malarza Adama Mañyoki, na podstawie listu prof. Nyarego w Peszcie, który nad monografią jego pracuje. Mañyoki nas bliżej obchodzi, gdyż wszedł w służbę króla polskiego Augusta II i był znanym w Warszawie i Krakowie. Prof. Sokołowski zawiadomił następnie, że praca jego

o złotniku poznańskim Erazmie Kamynie znalazła już echo. Właśnie odkryto zarówno w Poznaniu jak i w Muzeum artystyczno-przemysłowym w Berlinie różne dokumenta, odnoszące się do wspomnianego złotnika i jeden z archiwistów poznańskich zajął się ich opracowaniem. Prof. Sokołowski zwrócił wreszcie uwagę komisji na niedawno wyszłe dzieło p. Dietrichssohna, prof. historii sztuki w Chrystyanii o budownictwie kościołów drewnianych (*De norske Stavekirker*. 1892). Książka ta, opatrzona wielką ilością ilustracji, obchodzi nasz kraj bliżej, obejmuje bowiem szerokim zakresem swych badań także zabytki krajów pobliskich, nas interesujące, jak Węgier północnych, Moraw i Śląska, a nawet niektóre polskie kościołki. Nawiązując do wyniku badań prof. Dietrichssohna wypowiedział prof. Sokołowski szereg uwag i spostrzeżeń o charakterze zabytków budownictwa drewnianego w naszym kraju, podnosząc szczególnie różnicę między kościołkami łańcuskimi a cerkiewkami na Rusi, których typ uważać trzeba za znacznie starszy od pierwszych.

* Z ogłoszonego drukiem sprawozdania sekretarza »Macierzy polskiej« Władysława Belzy, dowiadujemy się, że wymieniona instytucja wydała w roku ubiegłym siedem dziełek, a mianowicie: »Pamiętniki Paska« w opracowaniu Dra Czerwaka, »Dziwy świata« przez Juliusza Starkla, »Odkrycie Ameryki« przez Dra Ludwika Finkla, »Kalendarz na rok 1892«, »Książeczkę o Kraszewskim«, »O hetmanie Żółkiewskim« i »Pana Tadeusza« w najtańszym z dotychczasowych wydań, bo sprzedającym się po 10 centów egzemplarz. »Macierz« puściła w obieg 45.000 egzemplarzy wspomnianego arcydzieła. Książeczek jej nakładu rozeszło się między ludem w roku przeszłym 31.877. Czasopisma *Niedziela* i *Gospodarz wiejski*, subwencyonowane przez nią, liczyły razem 1800 prenumeratów. Fundusz żelazny »Macierzy polskiej« wynosi 36.774 złr. 92 c. Sejm wspiera ją subwencją doroczną w kwocie 5.000 złr. Ze sprzedaży wydawnictw wpłynęło ogółem 2.857 złr. 77 c.

* *Berl. Börsen-Courrier* pomieścił bardzo sympatyczne nekrologiczne wspomnienie o ś. p. Marcelim Guyskim.

* Z równą starannością jak i dawniej redagowana »Wielka encyklopedia powszechna ilustrowana« dobiegła w ostatnich dniach do sześćdziesiątego ósmego zeszytu. Wydawnictwo to zdobija liczne rysunki reprodukowane w sposób drzeworytniczy i cynkograficzny.

* Na horyzoncie sztuki dramatycznej włoskiej zabłysła — niezwykle blaskiem — nowa gwiazda. Jest nią aktor Ermete Novelli, który w tragicznych rolach zaćmiewa jaskrawe, dotąd jeszcze żywe i świeże wspomnienia kreacji scenicznych Rossiego i Salviniiego w klasycznym repertuarze.

* Dyablik drukarski wypłatał nam figla w poprzednim zeszycie *Świata*, przekraczając ortografię nazwiska artysty-malarza, autora obrazu »Wyznanie miłości«, reprodukcję którego daliśmy na str. 244 i 245. Pisz się on *E. Blaas*.

BIBLIOGRAFIA.

»Słownik języka pomorskiego czyli kaszubskiego«. Zebrał i opracował *Stefan Ramult*. Praca odznaczona nagrodą Akademii Umiejętności w Krakowie na konkursie im. S. B. Lindego w r. 1889. Kraków, 1893. Nakładem Akademii Umiejętności, W 4-ce, str. XLVIII i 298.

Niedawno wyraziliśmy na tem miejscu sympatię dla wszystkiego, co kaszubskie i uznanie dla wszystkich prac literackich zaznamiających ogół polski z pomorskim dzielnym kątem. Dziś tem chętniej wracamy do tego tematu, że mamy do zapamiętania nie »przyczynek« literacki, ale dzieło poważniejsze, ściśle nau-

kowe, zaszczyt przynoszące naszej filologii. Autor stara się zebrać cały zasób leksykalny kaszubski, a wydaje go (po raz pierwszy) właściwą, odrębną grafiką, do której czcionki umyślnie różnić trzeba było; toteż teraz dopiero poznać można, czym jest właściwie ten język pomorski. Do *każdego* słowa przydano przykłady, a przez to znajdujemy tu zarazem najobfitszy dotychczas skarbiec kaszubskich zwrotów i wogóle kaszubskiej mowy. W obszernym wstępie podaje autor rys etnograficzno-historyczny Kaszubów, zastanawia się nad ich ich obecnym obszarem etnograficznym, tudzież zbiera wiadomości statystyczne. Rozbiera następnie krytycznie dźwięki i narzecza języka pomorskiego, a porównując go z językiem polskim dochodzi do wniosków co do stanowiska jego w gronie języków słowiańskich. Zdaniem autora dzisiejsza mowa kaszubska nie jest bynajmniej narzeczem polskim, ale narzeczem odrębnego języka słowiańskiego mianowicie języka pomorskiego, który należy do grupy języków zachodnio-słowiańskich, a więc równorzędny jest językom: czesko-słowackiemu, serbskiemu (łużyckiemu) i polskiemu; język ten, pomorski, zajmuje stanowisko pośrednie między językiem polskim, a grupą narzeczy serbskich (Łużyce). Mielibyśmy tedy do czynienia z mową wielkich ongi Pomorzan, z narzeczem języka, który rozbrzmiewał niegdyś szeroko za Łabą, nie z żadną gwarą chłopską, ani z zepsutą polszczyzną, nie z jakimś tam żargonem sztucznym lub zepsutym, ale nawskróś oryginalnym, samorodnym indywidualizmem językowym, pełnym znamienitych zjawisk, godnym żywszego i serdeczniejszego, niż dotąd, traktowania. Zupełną na racyę autor, zwracając się w jednym ustępie (str. XLIV) przeciw tym, którzy też naukowych nie chcą odróżnić od zapatrywań politycznych. Prawdy naukowej nie godzi się wikłać z oportunistycznym politycznym, bo to profanacja nauki; w tym zaś wypadku chociażby odrębny kaszubski język stał się nawet literackim, Kaszubi politycznie i tak zostaną Polakami, więc czem bardziej się wzmogą, tem lepiej dla nas. Cokolwiek nauka orzeknie o twierdzeniach autora, to pewna, że w rzędzie badaczy kaszubskich przysła mu tę zasługę, że pomnikiem swem dziełem — a ten epitet bezwarunkowo mu się należy — stworzył kanon niejako dla uczonych i punkt wyjścia dla wszelkich dalszych prac w tym kierunku, które teraz dopiero będą mogły rozwijać się wszechstronnie, mając w uczonym dziele Ramulła kamień węgielny umiejscowionej podstawy. Zważyć też trzeba, że nie nietylko dla filologii, ale pośrednio też dla historyografii sprawa języka kaszubskiego jest przedmiotem wielkiej doniosłości. Oby zapowiedziana część II wyszła jak najrychlej!

»*Wśród Polonii w Ameryce*«. Druga seria »Listów z Ameryki«. Skreślił *Dr Emil Habdank Dunikowski*, profesor uniwersytetu lwowskiego. — We Lwowie. Główny skład w księgarni P. Starzyka. 1893.

Grono posłów sejmu galicyjskiego zajmuje się palącą dla nas sprawą wychodźstwa, a zwłaszcza emigracją do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, gdzie przebywa już obecnie przeszło półtora miliona Polaków. Autor wymienionej powyżej książki, profesor wszechznany lwowskiej *Dr. Emil Habdank Dunikowski*, zaproszony do udziału w pracach sejmowego grona, podjął się zaszczytnej misji udania się na drugą półkulę dla sumiennego zbadania stosunków i położenia wychodźców polskich, a następnie złożenia sprawozdania o ile ojczyzna wpłynąć może i powinna na szerzenie między niemi oświaty w duchu polskim, ochraniającym ich od wynarodowienia. Owocem tej podróży jest dzieło leżące przed nami. Wierność opisów, połączona z barwnością opowiadania, oraz lekkością fejtetonową

czyni je przystępnym dla szerokiego koła czytelników. Prof. Dunikowski, który objechał wszystkie najważniejsze osady polskie w Ameryce i wszędzie przyjmowany był ze szczerym zapalem, przygotowuje niezawodnie w przyszłości książkę drugą, wyczerpującą i oświeclającą naukowo tak ze wszech miar interesującą i ważną kwestyę o ile prąd emigracyjny, niedający się powstrzymać, zużytkować będzie można w celach ogólnej moralnej i materyjalnej korzyści narodowej.

Stanisław Bełza. — »*Na Szlaku polskim*«. (Wrażenia i spostrzeżenia). — Wydanie drugie. — Kraków. G. Gebethner i Spółka. Petersburg. Br. Rymowicz.

O pierwszym wydaniu tej książki mówiliśmy obszerniej w tejże samej rubryce, dziś zatem moglibyśmy tylko uwagi nasze powtórzyć, co przynajmniej czytelnicy nasi byłoby zbyt cennym.

Czesław (Cz. Jankowski). — »*Rymów nieco*«. — Kraków. G. Gebethner i Spółka. — 1892.

Utalentowany poeta w tym najnowszym zbiorze wierszy swoich pomieścił przeważnie utwory, świadczące o wyrobieniu formy, którą włada z niezwykłą zręcznością i wprawą. Odmiennego kierunku myśli lub wzbogacenia jej świeżymi zdobyczami idei, nie znajdujemy tu wcale. Nawet powiemy szczerze, niektóre utwory — prawdopodobnie pisané do jednego z czasopism humorystycznych lub dzienników brukowych — niepotrzebnie znalazły się w książeczce, posiadającej poważniejsze przeznaczenie od świszków ulotnych.

Historja piechoty polskiej. Przez *Konstantego Górskiego*, pułkownika piechoty, przedtem kapitana kwatermistrzostwa generalnego. Kraków, 1893. Nakładem Spółki Wydawniczej Polskiej. Z zasiłkiem Akademii Umiejętności. W Krakowie. 8-vo, str. 265.

Dzieło niniejsze dawno się już nam należało. Autor, pułkownik piechoty, przedtem kapitan kwatermistrzostwa generalnego, niejedną już pracą monograficzną zyskał sobie wdzięczne uznanie historyków, których informował z taktycznego i strategicznego stanowiska o niejednym ważnym momencie dziejów polskich. Znałca u nas najlepszy, za każdą nową swą pracę, wzbudzał coraz większy żal, że nie napisał całokształtu historyi wojska polskiego. Nareszcie mamy pierwszą część tak z utęsknieniem wyczekiwanej dzieła, które w intencji autora ma »przywrócić wojsku naszemu to miejsce, które mu się w pośród wojsk europejskich słuszenie należy i odświeżyć w pamięci swoich i obcych dawną świetność tego sławnego wojska, które zwyciężając tysiącami dziesiątki tysięcy, nigdy nieprzyjaciela nie liczyło, tudzież uzupełnić dotkliwą lukę w historyi wojsk europejskich. Rezultatem pracy jest twierdzenie, że piechota nasza w wieku XV była całkiem oryginalną, ale potem nastąpił zastój z powodu nie uwzględnienia nowych wymagań w nowych czasach. Przede wszystkim zawiniono co do systemu kompletowania, ponieważ nie uznawano zgola znaczenia liczby. »Bywaliśmy też bodaj we wszystkich wojnach i bitwach w mniejszości. Długi czas to uchodziło, ale nareszcie ciężko zapłaciłszy za nieuwzględnienie tego fundamentalnego prawa wojny«. Co do organizacji i należytego opatrzenia piechoty w broń i amunicyę, zaniedbaliśmy się zdaniem autora tylko »trochę, ale za to ciężko zgrzeszyliśmy tem, żeśmy nie umieli ocenić znaczenia piechoty od czasu, gdy po wynalezieniu bagnetu, stała się bronią uniwersalną, zdolną tak do obrony, jak równie do ataku, a więc bronią podstawową wojska. Najwięcej zawinił pod wszystkimi względami ciemny i zacofany wiek XVIII; w tym też wieku najdobitniej wyraziła się bierność nasza«. Dzieło pułkownika Górskiego nie jest zwykłym kompendium ale oryginalną całkiem pracą źródłową, na studiach archiwalnych opartą. Mnó-

stwo nieznanych szczegółów wychodzi tu na jaw, tak że nietylko do historyi samejże piechoty, ale w ogóle do dziejów kultury dużo tu znajdujemy przyczynków. Praca ta zainteresować winna szersze koła i tem niecierpliwiej czekamy przyrzeczonej historyi jazdy i artylerii polskiej.

Zygmunt Niedźwiecki. »*Jedyne dzieło*«. Nowelle i szkice. (Jedyne dzieło. — W cyrku. — Małenstwa. — Swarliwa. — Zazdrość. — Uznanie. — Schadzka. — Świszki. — Wanna. — Spotkanie. — Cholera. — Wygrana. — Sprzeczka. — Wakans. — W obłędzie). Kraków. Nakładem autora. 1893.

Więcej tu szkiców niż nowelli, a doprawdy czyż nie zawiele mnoży się obecnie owych niby lekkich zarysów, fraszek belletrystycznych, odtwarzanych wedle nieestetycznych wzorów, jakby aparatem fotograficznym, pośpiesznie, byle prędzej, z zupełnym pominięciem warunków artystycznych, bez których nie ma dzieła sztuki. Szkoda na podobne eksperymenty czasu i talentu, który nie może się w nich wzmódz i rozwinąć, tylko upada, słabnie, a nawet często obraca się na marne.

Kazimierz Lewandowski. — »*Szella*«. Wiersze. — Kraków. 1893.

Autor w jednym z wierszyków, jakie zbior ten mieści, powiada: »...wszystkie ducha przetrząsnąwszy brogi, nie mogę znaleźć ni celu, ni drogi.« Zapytamy: Czy naprawdę wszystkie? a jeśli wszystkie w istocie, dla czegoż wydał książkę? W samej rzeczy nie ma w »Szelli« ani świeżych celów poetycznych, ani nowej drogi literackiej, chociaż gdzieś tam prześledzić znamię niezaprzeczonego talentu. Właściwszem było zatem zamknąć rękopis do skrzyni i czekać aż talent odkryje cel i drogę, ażeby zbudził się myśl a forma przybierze kształty prawdziwie artystyczne. O tem co jest, Ben Akiba rzekłby niezawodnie: »wszystko to już było«, a my dodamy: »tylko lepiej i piękniej wyrażone«.

NEKROLOGIA.

* W d. 1 czerwca rozstał się z tym światem *Aleksander Walicki*, kustosz archiwum Radziwiłłowskiego w Nieświeżu, znany dobrze w literackich i artystycznych kołach Wilna, Warszawy i Krakowa. Napisał i wydał najlepszy życiorys Moniuszki, którego był osobistym przyjacielem; nakreślił wiele wspomnień literackich i zarysów obyczajowych; poświęcił błędowi i prowincjonalizmowi — zachwaszczającym niwę dziennikarską polską — duże dzieło, które wyszło w trzech wydaniach; pracował od dwóch lat nad komentarzem rzeczowym do »Pana Tadeusza«, był żywą kroniką wypadków i zdarzeń kończącego się stulecia, posiadał bowiem pamięć niezwykłą; tysiące improwizacji i wierszy niedrukowanych Syrokomli (którego był dobrym druhem) umiał i powtarzał bez zająknięcia. Jako człowiek odznaczający się s. p. A. Walicki charakterem uczciwym i stanowczym, oraz niepospolitą wytrwałością w pracy; prawdę miłował i wygłaszał ją lubił głośno, nie oglądając się na żadne względy. Pozostawia po sobie w malutkim gronie przyjaciół najchlubniejszą po sobie wspomnienie.

* W Rzymie zmarł *Jan Scovazzi*, bibliotekarz włoskiej izby poselskiej, pisarz wielkich zasług, człowiek niezwyklej zacności, osobisty przyjaciel A. Towiańskiego i Adama Mickiewicza, gorąco i szczerze kochający nasz naród. Posiadał liczny zbiór listów autora »Pana Tadeusza«. Pozostawił ciekawe pamiętniki pełne szczegółów o Mickiewiczu, które prawdopodobnie wyda jego żona. Scovazzi w chwili zgonu liczył ośmdziesiąt pięć lat wieku. Cześć jego pamięci!

* Najznakomitszy artysta dramatyczny amerykański, *Edwin Booth*, zmarł w Nowym Yorku. Nieporównanym był przeważnie w rolach Szekspirowskich.